

PAMIĘTNIKI
JÓZEFA WYBICKIEGO

DZIEJE POROZBIOROWE NARODU POLSKIEGO
W ŻYWEM SŁOWIE

III.

PAMIĘTNIKI
JÓZEFA WYBICKIEGO

SENATORA WOJEWODY
KRÓLESTWA POLSKIEGO

CZĘŚĆ II

Z PRZEDMOWĄ

HENRYKA MOSCICKIEGO

Bezpłatny dodatek dla prenumeratorów »Tygodnika Ilustrowanego«

WARSZAWA

NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1905

Дээполено Целэурою.
Бяцшава, 5 Мая 1905 г.



ROZDZIAŁ IV.

Pobył w cudzych krajach.

Już był rok 1769, a życia mego 23, gdy w tę nową kolej nieprzewidziane rzuciły mnie losy. Lubo wcale obcy w tym nowym elemencie, nie podpadłem jednak zwykłej nowym żeglarzom chorobie a dłużej jak zwykle dla przeciwnych wiatrów i ustawicznych burz bawiliśmy na morzu. Zdrow byłem ciągle i zajęty dniem i nocą moją akademią; dnia 7 stanąłem w Lubece. Miasto tyle sławne w lidze hanzeatyckiej, znalazłem tak ciche, spokojne, jakby przez jedną rodzinę zamieszkałe. Ochędóstwo, czystość domów i ulic w podziwienie mnie wprawiała (trzeba było dobrą milę od wylądowania i to samymi piaskami do miasta dojechać).

Zakładałem sobie tam bawić się kilka dni i okolice zwiedzić, gdy nagle taką niemoc uczułem w nogach, iż prawie wszystką władzę w nich utraciłem, ból nieznośny zdrętwił je w przeciągu

dwudziestu i czterech godzin. Złękniony wzywam lekarza, ten na moją pociechę przytacza mi przykłady, że ci, którzy choroby morskiej nie mieli, tym rodzajem paraliżu nóg często bywają dotknięci; dzień cały się pocę i niby ów paralityk ewangeliczny, porywam się z łóżka i chodzę po trzech dniach kalectwa.

Niebawnie korzystam z odzyskanego zdrowia i pocztą zwyczajną puszczam się do Hamburga. Wóz duży okryty, najniewygodniejszy, dokończył mej kuracyi. Cyrkulacya krwi musiała bieg swój odzyskać i żołądek dygestyę. W Hamburgu życie bardzo drogie, jak zwykle w mieście bardzo handlownem i pieniężnem.

Hamburg co do handlu, jest w tym stosunku do Europy, co niegdyś Amsterdam względem całego świata; ale ja opis jego odsyłam do moich podróży (jeżeli je kiedy skończę). Tu w dalszą podróż niebawnie się puszczam i znowu na wóz drabny, zwany pocztą ordynaryjną, siadam i przez miasto Bremę wolne hanzeatyckie, aż do miasta holenderskiego Gröninge przybywam. Potłuczone kości, sińce na ciele, ale umysł czerstwy i wesoly do bogatych, ale ponurych przywiozłem Holendrów. Tu nowe przedmioty, nowy widok rzeczy, zgoła świat i ludzie byli dla mnie nowi. Stamtąd nakoniec do Amsterdamu przepłynąłem przez Südersee, gdzie zachwycony wszyskiem, co widzę i wszyskiemu się dziwię,

niczego pojąć nie mogę. Ufam, iż w moich rękopismach myśli niektóre nad Holandya znajdziecie; tu tylko wyznaję wam szczerze, iż objąwszy niejaki wyobrażenie o jej rządzie, objąć tego na żaden sposób nie mogłem, że mieszczanie, burmistrze takim zarządzili krajem, obyli się bez króla, nie mieli szlachty.

Ukochane dzieci, taka jest moc uprzedzenia z dzieciństwa wzięta i ciemnotą publiczną żywiona! w takiej był wasz ojciec, co już był mecenasem, posłem i konsyliarzem; w takiej ileż naszych zgrzybiałych prawodawców, senatorów do grobu nie weszło. Ledwo tak od śmiechu nie rozpękł się kiedyś opasły a głupi poseł turecki w Wenecyi, gdy mu powiedziano, iż Rzeczpospolita stała bez sultana i cierpieć momentu nie mogłaby wezyra. Ja szlachcic polski, byłem tym Turkiem w Holandyi, ale ona mnie też mogę mówić na inną drogę wprowadziła. Zamoycki! Chreptowiczu! Brzostowski! oddajcie mym sentymentom sprawiedliwość, jak o naszych mieszczanach i wieśniakach myślałem.

Z Amsterdamu płynąłem jak zwykle kanałem przez Harlem do Lejden; zdało mi się, że płynąłem polami elizejskimi do raj. Jeszcze w Amsterdamie powziąłem wiadomość o akademii lejdejskiej i bez wszelkich rekomendacyi, idąc machinalnie za drugimi, wpisałem się w księgę akademików i pod władzę przeszedłem rektora.

Lekcyje na moje nieszczęście dawano po łacinie, a profesorowie płatni od rządu, żadnej od uczeni nie brali opłaty; ten tylko co prywatnie chciał brać lekcyje, podług ugody płacił.

Czytając plan czyli rozkład nauk, wszystkie mi się podobały, wszystkie prócz teologii, (bo ta nie była mej wiary) aż do chirurgii chciałbym był objąć, chciałbym przynajmniej mieć ich obraz. Idąc za popędem mej pasyi do nauk a nie mając przyjaznego mentora, któryby mi rękę podał, wpadłem jak ów zgłodniały na zastawione stoły. Już całodzienną pracą aż do późnej nocy chcę sobie utracone lata wynagrodzić. Chodzę wywiędły po kilku miesiącach jak cień.

Postrzegł to najmilszy memu wspomnieniu profesor prawa Pestel; złażał mnie sławny profesor chemii Gaubius. Miarkuję się w zapale, ale w nim nie stygnę. Gdy to piszę, gdy mój stan ów przywodzę na myśl, niczego nie pragnę, jak tylko przez lat kilka być waszym przewodnikiem do nauk nie z powagi ojca ale z mocy doświadczenia.

W tym tłumie lekcyi przywiązałem się szczególnie do prawa i historyi politycznej Europy przez profesora Pestla dawanych; dawał mi też czasami lekcyę prywatną, eksplikując ducha praw przez Montesquieu.

Zachwycała mnie fizyka eksperymentalna,

która z łaski edukacyi naszej zupełnie mi była obcą. Przypomniałem sobie przytem Twardowskiego, że go ciemność nazwała czarnoksiężnikiem. Profesorem fizyki był Alman, Szwajcar, pełen niewypowiedzianej dobroci i grzeczności.

Pestel był Niemiec, ale pełen tonu dworskiego, grzeczny i dobry, jak Alman; różnili się w tem od Holendrów, którzy mniej przystępni. Uczęszczałem na lekcyę Gaubiusza chemii i botaniki; najtrudniejszą mi była spóźniona nauka matematyki, poświęcałem jej się jednak; język francuski zajmował mi także wiele czasu, potem lekcyą partykularną geografii i historyi powszechnej z Bossueta. Wpadłem niekiedy na anatomię dawaną przez Albinusa, brata owego sławnego anatomisty i następcy po Boerhavię.

Ale pamiętając dobrze rady mego biskupa, zająłem się najwięcej lekcyą polityki, lekcyą praw narodów. Profesor dający prawo polityczne rządu rzeczypospolitej holenderskiej, używał przytem dzieła: *Les instructions politiques par Bielefeld*.

Nauka ta tyle do mego stanu potrzebna zajęła mnie całkiem. Dzieło Bielefelda w większej części przetłómaczyłem, zebrawszy różne notycyę o rodzajach rządów i ich zasadach. Męczyłem przepisywaniem siebie i zacnych mych współziomków wyznania kalwińskiego: Stankara z Litwy, Dyczkę i Kassyusza z Wielkopolski.

Byłem posłał opatowi Rybińskiemu ten pierwszy niedojrzały plód mego pióra wreszcie, gdzie się podział, nie wiem. Było to wówczas dla mnie rzeczą zupełnie nową, zasady i rozumowanie nad naturą praw politycznych, krajowych, nad przedmiotami ekonomii politycznej, nad skarbem, policją i t. d. Cóż dopiero pierwsze prawidła dyplomacyi i zewnętrznej negocyacji elementa przypominały mi zawsze pierwszy gabinet dyplomatyczny pod prezydencją sekretarza Kochanowskiego w konfederacyi barskiej.

Ileż razy nie utyskiwałem na naszą ciemność z zacnymi współziomkami wyżej wspomnianymi! Byli oni wyznania kalwińskiego i dla dzikiego prześladowania w kraju, gdzie im zabroniono szkół publicznych, porobiły się różne w krajach zagranicznych fundusze na młodych księży. Dlatego dysydenci powszechnie byli uczeńsi od nas.

Byłem im znany pod nazwiskiem Fukler z Gdańska; pod tem bowiem przyjechałem do Holandyi i pod tem chodziłem do akademii. Nie umiałbym wam wytłómaczyć prawdziwego powodu zatajenia mego nazwiska, szedłem w tem za radą przyjaciół w Gdańsku, którzy rozumieli, iż może przez gazety będzie komu imię moje znane. Wreszcie było mi z tem bardzo dobrze, bo w Holandyi jak wszędzie za granicą, Polak na ski jest grafem i podług tego ober-

żyści i rzemieślnicy taksują. Przyznałem się jednak profesorowi Pestlowi kto byłem i to miało na czułym umyśle jego skutki jak najlepsze; dawał mi lekcyę partykularne, a o naszej korespondencyi dowiecie się później.

Ziomkowie moi dorozumiewali się, iż pożyczone nosiłem imię.

Do śmierci zachowałem miłą pamięć uczy-nionej mi przysługi. Pewien K., syn seniora z Leszna, zdaje mi się, przez głębokie zapuszczanie się w tajemnice religii był oszalał; często z tego przypadku okropnego smutni brat jego i drudzy dwaj Polacy, których wspomnia-łem, odkryli mi tajemnicę. Już ten nieszczęśliwy był wyszedł z gwałtownego paroksyzmu, zachował tylko reszty choroby, nie chciał golić brody, jeść mięsa, przytem cierpiał melancholię, czasami dzikość, dlatego go jeszcze na wolność puścić nie chciano.

Szło jednak dla jego wyleczenia, aby go ze stacyi wyprowadzić. Oświadczam przyłożyć się wszelkimi siłami do jego losu; odpowiadają mi na to, że jest bardzo ciekawy mnie poznać z repytacyi, którą miałem w pilności do nauk. Poszedłem więc do niego; projekt, który sobie ułoży-łem, nie czynienia z nim żadnych dysput, jak najlepsze miał skutki. Po niejakej konwersacyi, na wpół szalonej, zaczął mi się skarżyć na ty-

raństwo ludzi względem siebie, przyszła nareszcie materya brody i niejedzenia mięsa.

Pochwalam jego strój, zgodny z strojem Chrystusa i wszystkich filozofów, pochwalam obrzydliwość do mięsa, przytaczając za przykład wielkiego Pytagoresa i t. d. Na to złagodziło się jego oko, wesolość zadziwia wszystkich. Ale ja kończę dalej, iż chcę go naśladować, brodę zapuszczę, mięsa jadać nie będę i razem z sobą żyć zaczniemy. Sciska mnie serdecznie, a ja zwolna proszę, abyśmy razem brody zapuścili a więc wypadła, aby on swoją ogolił.

W tym namyśle go zostawiam i na jutro na obiad proszę do siebie, dla zaczęcia już wspólnego życia. Ledwom odszedł, męczył brata i drugich, aby go do mnie prowadzili; przekładają z strony mej kondycyę, aby razem brody zapuścić, a zatem swoją wyrosłą ogolić wypadło.

Trwały spory do dnia drugiego, przypominają mu, że go z obiadem u mnie czekam; decyduje się na postrzyżyny, goli brodę i woła, aby go do mnie prowadzono. Któż opisze radość brata, z jaką się z tą nowiną na łono moje rzucił. Ale prośba nowa o pieniądze na pocztę, aby zaraz z domu mego porwać i z kraju niezdrowego wywieźć. Dają z najczulszą radością czerwonych złotych dwadzieścia. Tymczasem ten nieszczęśliwy do mnie wchodzi; ofiaruję mu owoce.

Przychodzi do obiadu, stawiają jeden półmisek mięsa, on go porywa, ja odbieram i rzucam ze wszystkiem w komin. Taka nagła powolność z mojej strony zaraz go ułaskawia; godzin kilka rozmowy i zabawy, uczyniły go zupełnie spokojnym. Powiem, odmiana powietrza, towarzystwa wróciły mu zmysły.

Mówił polszczyzną wyborną, chwalił moje pismo, tymczasem zapłacona poczta zaszła. Ofiaruję mu spacer, proszę go tylko, aby z bratem najprzód wsiadł do powozu, ja za nim. Ruszył i tylko bratu dał kilka razy w podróżny w twarz, zresztą szczęśliwie stanął w Dreźdenku.

Wrócony ojcu strapionemu, familii i wszystkim jego wyznania, którzy w nim geniusz upatrywali. W Dreźdenku była generalowa Skórzewska z całym domem; sławny Bronikowski, kalwin i t. d., tam się wydało me imię; odesłano mi zarazem pieniądze, doniesiono radość powszechną. Moje dzieci! nie macie w mem życiu dzieł wielkich, chciałem wam tę przysługę ludzkości, jako dzieło drogie memu sercu, którego wspomnienie do grobu mnie poprowadzi w waszej uwiecznić pamięci. Ach! co za rozkosz dla duszy uczynić, choć jednego człowieka szczęśliwym!

Tak rok bawiłem w akademii lejdejskiej. Zasiłane zostało ziarno wiadomości różnych, byłbym (pochlebiam sobie) niezadługo postrzegł cał-

kowity owoc, ale przez cały rok od generalności nękania, musiałem uleść obowiązkowi dawniej zaciągniętemu i powrót przyrzec.

Wreszcie przełożył mi mój wuj, iż mój majątek na tak wielkie podróże nie wystarczał. Sposobiłem się więc do powrotu, gdy mnie przeznaczono z Potockim jakimś do Hiszpanii. W Gdańsku od kasztelana Czarnieckiego, miałem odebrać instrukcje.

Tam więc wyjechałem z żalem, że porzucam rozpoczęte nauki.

Tak więc po różnych funkcyjach i urzędach odbytych, widzieliście mnie moje dzieci napowrót w szkole. Już i dawniej filozofowie do grobu uczyć się nie przestali, ale względem mojej nauki, ta smutna okoliczność zachodziła, iż tego w dwudziestym trzecim roku zacząłem się uczyć, co najmniej w piętnastym umieć już byłem powinien.

Fundusze na podróż były szczupłe a i te włożyłem prawie w zakupienie książek.

Wsiadłem więc znowu na okręt do Gdańska, ugodziwszy się na cały ekspens zapłacić kapitanowi czerwonych złotych kilkanaście. Ufałem, iż z pierwszej podróży przyuczony już marynarz, zdrowsz będę. Ale nadspodziewanie, choroba się moja rozwinęła, zaraz przy wstępie na okręt zaczęła i trwała dni siedm, aż do wyładowania w Żmudzi. Już to nie był temperament zahar-

towany konfederata barskiego, który się natrząsał z wszystkich odmian i niewygód; upadł pod niemi zdelikatniony z osłabioną fizycznością akademik. Dojeżdżając do Zundu, prosiłem kapitana, aby mnie tam wysadził, na rzeczy moje dał pieniędzy i dla poratowania zdrowia zostawił w Helsingor, gdzie zwykle królowi duńskiemu dla opłacenia się stawają okręty wszystkie. Uczynił jakem żądał, na szczęście ludzki i czuły marynarz. Spuszczono mnie nawpół umarłego na łódź, ale o dziwy! ledwo mnie majtkowie postawili na nogi, zamiast pomocy doktora, zacząłem w pierwszej garkuchni nadbrzeżnej, wołać o pieczeń baranią, której mnie zapach doleciał.

To była niepojęta metamorfoza, jak z konałego ożyłem. Kapitan jedząc ze mną, powiadał, iż do Kopenhagi miał interes pojechać; prosiłem go, aby mnie z sobą zabrał. Tej podróży zamiarem nie była tylko sama ciekawość.

Wspomniałem na czele pisma, iż pochodzimy z Danii, dodam słów kilka ciekawego w tem zdarzenia.

Za Augusta II. zdaje mi się, był posłem od króla w Danii Szaniawski, właśnie wtedy, kiedy ministrem spraw zagranicznych był Wyben, który będąc bezdzietnym, odjeżdżającego posła zapytał się, czyby o Wybenach w Polsce nie wiedział, dodając, iż wie z historyi domu, iż tam jeden z przodków był osiadł.

Szaniawski wyznał swą niewiadomość o tej rodzinie.

Na co mu rzekł minister Wyben: Uczynisz mi wielką łaskę, gdy się o niej dowiesz i jeżeli jest rozrodzona, niechaj tu z niej jeden młody dla odziedziczenia mego majątku i utrzymania imienia przybywa.

Zapomniał Szaniawski o danem przyrzeczeniu, ale w czasie gdy jest marszałkiem trybunału, wytacza się sprawa naddziada mego pod jego łaską. Lyśniewski, zły sąsiad a możny, chcąc wydrzeć przyległe grunta, zadaje mu, iż nie jest indygenat pruski (to prawo Prusacy bardzo cenili), iż jest przybysz niewiadomy z swoją rodziną; zgola, że nie szlachcic. Tu z natury rzeczy wypadło produkować ów dokument, o którym wspomniałem wyżej, a który jeszcze za Zygmunta Augusta przodek nasz na indygenat polski był otrzymał. Obudza się pamięć w marszałku na wyraz Wybena z Danii. Wybicki wygrywa sprawę, jako indygenat polski i komunikowaną ma sobie propozycję ministra duńskiego.

Odpowiada Wybicki, iż ma trzech synów, ale żadnego do Danii posłać nie może z przyczyny religii, zresztą, że to bierze *ad referendum* do brata swego proboszcza. Tu się już zakończyła była cała ta historia, a którą opisaną oddał mi szanowny mój stryj, archidyakon po-

morski i często o niej ojciec, a bardziej stryj Maciej wspominał. Zachowałem jej pamięć i to było powodem jechania mego do Kopenhagi.

Gdyby czas i sposobność były po temu, możebym był odkrył, jak wygasła familia Wybenów i do kogo się jej majątek przeniósł; ale nie cały dzień bawiąc w Kopenhadze, wsparty tylko radą kapitana, któremu rzecz udzieliłem, tyle się w domu niektórych bankierów i kupców dowiedziałem, iż familii Wybenów wcale nie znano. Może ta wiadomość przyda się któremu z następców naszych.

Powróciwszy z Kopenhagi, nie bez odrazy wsiadłem znowu na okręt, ale jednak przybyłem zupełnie zdrów do Gdańska. Szukałem zaraz mego kasztelana braclawskiego, od którego odebrałem wiadomość, że Potocki, z którym miałem jechać do Hiszpanii, umarł. Tak więc spełzły moje nadzieje widzenia Francyi i Madrytu.

ROZDZIAŁ V.

Stosunki autora z generalnością konfederacyi barskiej.

Nie będę tu opisywał dalszych odmian politycznych, wspomnę tylko, że generalna konfederacya przeniosła się z Eperies do Cieszyna. Tam więc piszę do generalności i do marszałka pomorskiego, ale on był wyjechał do Wiednia do posła francuskiego, gdy Zboiński nie przyjął tej poczty. Francya zdała się coraz bardziej czuć potrzebę ratowania Polski; ale jej środki, jej słaby gabinet, prawie niedołężny, nie odpowiadały natężonej polityce dworów, które podział Polski ułożyły. Wspierała Francya konfederacyę barską, jak niegdyś elekcyę Stanisława Leszczyńskiego, ale tam jeszcze otwarcie, tu tajemnie. Łudził ją dwór austryacki, natrzęsała się z niej jawnie Rosya, zwykłym polityki swej tajnym obrotem, prowadził rzecz całą Fryderyk.

To już epoka zachwianej monarchii francuskiej, dobrze ją w swem dziele opisał Favier¹⁾. Na zapobieżenie zagrożonemu potęgi tureckiej i Rzeczypospolitej Polski upadkowi, wysłała Francya kardynała Rohan, arcybiskupa strasburskiego jako posła do Wiednia. Poseł niosący cechę zupełnej korupcyi narodu swego w okazałości i zbytkach oryentalnych, może byłby przyzwolicie na jaką reprezentacyę kraju błyszczącą użyty, n. p. na jakie ślubowiny; ale gdzież ten sybaryta, oddany rozkoszom leniwiec, tak wielkiej wagi mógł prowadzić interesa? Z tem wszystkim w nim ojczyzny naszej losy były złożone. Viomenil, generał francuski, który przy generalności bawił, przekładał potrzebę wysłania jakiej znacznej osoby do niego. Pisał o tem i mój wuj, bawiący w Wiedniu, zaprzyjaźniony z ministrem francuskim Durand, wielkim Polaków przyjacielem. Zwróciły się wszystkich serca i zdania na księcia Jabłonowskiego, wojewodę podówczas poznańskiego. Ten niewyrodny prawnuk Stanisława, był jednym z najgodniejszych Polaków, o losie ojczyzny nigdy nie rozpaczał, służył jej do ostatniego tchnienia. Czuł w propozycyi sobie generalności uczynionej, całe niebezpieczeństwo i trudność; ale: uczynimy wszystko,

¹⁾ Jan Ludwik Favier (1711—84) autor słynnego dzieła *Politique de tous les cabinets de l'Europe* (wyd. 1793 r.) (H. M.).

powiedział, abyśmy nic sobie samym do wyrzucenia nie mieli i przyrzekł dopełnić, czego od niego konfederacya żądała.

W takim niejako stanie były rzeczy, gdy 24 roku życia, w roku 1772 pojechałem do Cieszyna, gdzie marszałkiem na czele związku był Pac, starosta ziółowski. Jużem był zastał powracającego z Wiednia marszałka pomorskiego, którego przytomność w generalności była koniecznie potrzebną dla naradzania się względem szczupłych subsydyów płaconych przez Wiedeń od rządu francuskiego. Książę Rohan nie był jeszcze przyjechał, wypadło przed jego przyjazdem przesłać ministrowi Durand, z dawna do narodu naszego przywiązanemu, żądania i projektu konfederacyi, który przyrzekł marszałkowi pomorskiemu, iż swemu następcy jak najwierniejszy obraz wszystkiego wystawi. Wypadło również powierzyć odbieranie pieniędzy płaconych przez Francję dla konfederacyi, w tym zamiarze podobało się konfederacyi wysłać mnie do Wiednia.

Pac, marszałek, lubo gorliwością i cnotą obywatelską nie przechodził Krasińskiego, miał przecież nad nim wyższość do prowadzenia interesów przez wrodzoną sobie słodycz i obszerne wiadomości.

Bohusz, sekretarz, był, powiem geniusz, był człek do takiej rewolucyi stworzony. Uwa-

żano w nim pasye wielkie i ci go w tem krytykować szukali, którzy nie wiedzieli, iż do dzieł wielkich, właśnie z wielkimi pasyami trzeba ludzi. Uspione namiętności czynią urzędnika publicznego obywatelem drogim w pokoju, lubym ojcem familii. Nie był tym Bohusz; nie stał się geniuszem zbawczym, bo na nieszczęście nie miał wiadomości militarynych, nie miał dość wsparcia i podniety, był ściśniony w swoich widokach; powiem nie był na czele dzieła.

Marszałek uczynił mi propozycyę przyjęcia nowych obowiązków. Bez przymuszonej skromności odpowiedziałem szczerze, iż jeżeli gorliwość i przywiązanie do sprawy zastąpić mogą talenta w tej misyi, rzecz publiczna przez swój wybór zawiedziona nie będzie. Opuszczam w takich okolicznościach, wzajemne dalsze komplementa. Oddano mi ekspedycyę do ministra francuskiego, przyłączono list, aby mi zaufał; wyrażono, by odtąd bankier Brea, wyznaczone subsydyja do mych rąk oddawał, a że (jak rozumiem) wypadalo zaszczyć mnie jakim tytułem, ponieważ konsyliarza barskiego w Wiedniu nosić nie mogłem, dano mi patent pułkownika w wojsku polskiem. Nie dziwcie się tak nagłemu memu awansowi, bardzo to u nas naówczas było zwyczajnem. Zabronił sobie rząd, niby to republikański, stwarzać grafów, baronów, markizów — stwarzał bez skrupułu niezliczoną

liczbę generałów, oficerów, rotmistrzów kawalerii, zaszczyt, który osobliwie w kraju wolnym powinien być skąpo szafowanym i tylko za doświadczoną waleczność lub znajomość sztuki wojskowej.

Szanowna w swoich zamiarach konfederacya szła w tej mierze za uświęconym przez długie czasy zwyczajem, ja wówczas machinalnie ofiarę przyjąłem, później jednak, jak zobaczycie, nie przyjąłem od naczelnika danej mi rangi generała.

Tymczasem wyjechałem na moją misję i jako pułkownik prezentowałem się w Wiedniu ministrowi francuskiemu Durand; wiadomości od marszałka pomorskiego już go były uprzedziły na mój pożytek. Był to człowiek już pewnego wieku, przystojny, miły, przystępny. Jeszcze w roku 1755 był w Polsce ministrem, należał do tajemnych układów względem zapewnienia u nas tronu księciu de Conti; sprzyjał polskiemu narodowi przez pryncypia zdrowej polityki i przez wdzięczność doświadczonej gościnności.

Takie z dawna związane na umyśle wyćwiczonego ministra dyspozycye, sprawiły dla mnie przyjęcie bardzo pochlebne. Nie szukając we mnie nauki bardzo głębokiej dyplomacyi, polubił mnie bardzo z przyczyny zapewnionego mu mego charakteru, bez skazy dobrego Polaka; a jeśli w rozmowie czuł świeżość szkolną z in-

stytucyi politycznych Bielefelda powziętą, umiał to pokryć zwykłą sobie grzecnością. Powiem, iż gdy w tym momencie sposób, jakim mnie przyjął, na myśl przywodzę, gdy sposób, w jaki interesa i losy Polski rozbierał sobie przypominam, przekonany jestem, że on szczerze chciał egzystencji naszej, że zarówno z hrabią Broglie dawno już o to budził dworu nieczułość. List od generalności mu oddany, czytał nie bez wzruszenia. Pac, Ogiński, Lniński, Bohusz były mu lube do wspomnienia imiona; a iż opuszczę, co naganiał, pochwalał i radził; wyznaczył mi godziny, w które go widzieć mogłem pod innym nazwiskiem.

List, odpowiadający do marszałka Paca mi oddał i przez tę rzadką dobroć, która go charakteryzowała, radził mi sam, aby jeżeli książe Rohan księcia Jabłonowskiego nie zastanie, generalność na moje ręce list do niego przysłała, poruczając swoje losy jego życzliwości; dodał, aby Pac partykularny list napisał do l'abbé Gorgel, sekretarza ambasady. Tym przyjacielskim obchodem tak mnie do siebie przywiązał i z powagą ministrowską oswoił, iż dom jego był mi raczej świątynią otwartej cnoty, jak schronią pysznej i ukośnej dyplomacyi. Wielbiłem to losu dla mnie zdarzenie i donosiłem z pociechą o tem Pacowi. A że miałem także listy zaletne do posła hiszpańskiego, staruszka wie-

kiem i chorobami stłoczonego, bywałem także u niego zawsze grzecznie przyjmowany. Był w Polsce, kochał naród nasz i nad losem jego utyskiwał. Nazwiska jego przypomnieć sobie nie mogę.

Moment przyjazdu księcia Rohan coraz bardziej się zbliżał. Generalność uwiadomiona, iż książe wojewoda poznański przewiółł jeszcze wyjazd, przysłała mi podług rady Duranda listy do oddania wielkiemu posłowi. Byłby to dla mnie, przyznam się, moment przykry, gdybym nie był zasilony ufnością w znanym mi charakterze ministra Duranda; wezwał on mnie do siebie i zwykłą zapewnił słodyczą, iż oddając interesa następcy swemu, nie zapomniał o Polsce, że książe żąda odebrać z mych rąk ekspedycję i że mnie prezentować będzie, ale potajemnie, z obowiązkiem jak najwięcej z mej strony dyskrecyi.

Szedłem więc do niego z Durandem, był też tam Gorgel, sekretarz ambasady. Po krótkim komplementcie oddałem ekspedycję; dał sobie czas list Paca przeczytać, zapytał się kiedy książe Jabłonowski przyjedzie i do jego przybycia odłożył odpowiedź marszałkowi; wreszcie wskazał sekretarza ambasady z danem pozwoleniem, abym u niego bywał i przez niego, gdyby co wypadło jemu komunikował.

Książe Rohan, przeszło lat 30 mający, już

był lysy i zresztą figury pięknej, żywy jak Francuz, roztargniony jak trzpiot paryski, dumny jak książę i poseł wielki.

Względem mnie wyznać muszę, iż był grzeczny i przyjmował mnie w tonie przyjacielskim; ale nie tego ja od niego pragnąłem, chciałem wsparcia dla kraju, a on słabością i niedołężnością swoją do jego przyłożył się zguby.

Dowiedziałem się później, iż światły i głęboki w polityce Durand naprzykrzał się swemu rządowi ustawicznym przekładaniem zawieszanej burzy nad Polską; że domagał się pozwolenia wymódcz na dworze wiedeńskim kategorycznej odpowiedzi względem tajemnych z królem pruskim i Rosyą związków, że ta nieporuszona stałość w pilnowaniu całości Polski, dla całości interesu Francyi pozbawiła go ambasady wiedeńskiej, a intryga dała mu na zastępcę kardynała, który drzemał na łonie rozkoszy, gdy koalicja na rozbiór Polski i osłabienie Francyi czyhała.

Gorgel, sekretarz był eksjezuity obowiązany z dawna darami Rohanów (miałem nawet od niego dzieło, dotyczące się tej familii), był tak nowy w polityce, jak jego poseł. Garnitur to umyślnie był dobrany zdradnej intrygi ręką.

Zamilczę, abym mej rany nie odświeżał jak nieczułym znajdowałem Gorgela na interesa Polski, żadnego bowiem nie miał wyobrażenia

rzeczy. Kazał mi sobie podawać wiadomości niektóre, pracowałem a szanowny Wiesiołowski był mi największą pomocą w pracy.

Uwagi, myśli, projekta, które mu podawałem, znajdował Francuz dobre; jeden projekt, powiedział, iż komunikował posłowi a on go do Paryża przesłał; gdy go potem zapytałem o skutek, odpowiedział, iż go znaleziono zapóźno podanym! Czulem coraz bardziej, że Durand odjechał, że naszego nieszczęścia zbliżała się godzina.

Przyjazd księcia Jabłonowskiego niewyrażoną przyniósł mi radość; uczyniłem mu krótką sprawę z ograniczonych mych czynności, oddałem mu papiery i podług żądania mego do generalności posłanego, chciałem koniecznie opuścić Wiedeń.

Zastanowiło to księcia i pokazał mi zaręczoną mu od generalności bytność moją przy nim. Do Rohana się udałem i o przybyciu księcia Jabłonowskiego doniosłem; wyznaczył godzinę, kiedy go wprowadzić mogłem do Gorgela, a ten do posła. Godzina do konferencji była wieczorna, zostawiłem na niej samego księcia.

Nie wyszczególniam tutaj, jak z danej instrukcyi od generalności, punkta przez księcia Jabłonowskiego podane, były na wspólnym interesie dwóch narodów, Francyi i Polski zasadzone, jak żądania konfederacyi miały cechę

polityki dojrzałej, co potrzebne do wielkości zamiaru wystawiając środki, słabość i niedoleżność dotąd dowodziły. Mówił książę, że niepodległość i egzystencya Polski nie były aż dotąd niczem zaręczone; honor narodu francuskiego kompromitowany i t. d.

Żądał książę Jabłonowski konfidencyonalnej najmniej odpowiedzi: czy książę poseł wdawać się będzie do dworu wiedeńskiego, za interesami konfederacyi i bezpieczeństwem indywiduów? Wysłuchał żądania wszystkie, przyjął na piśmie podane sobie noty, a w niezdeterminowanej na wszystko ograniczając się odpowiedzi dodał jawnie, iż dyrekcie jeszcze nic za sprawą konfederacyi czynić nie może, ale ponieważ los narodu polskiego nie jest obojętnym jego dworowi, przeto polscy patryoci mogą być zapewnieni, iż aż do wyjaśnienia rzeczy, on się indyrekcie ich losem zatrudniać będzie, że ich żądania przez usta księcia Jabłonowskiego, zawsze będzie gotów przyjmować, że z generałem francuzkim Viomenil przy generalności będącym wyraźnie znosić się zechce; wreszcie na rozwodzeniu nieukontentowania i skargach oficerów francuzkich, przy konfederacyi będących, rozmowę zakończył. Zgadywaliśmy łącno wprzódy skutek z tej tak długo oczekiwanej konferencyi.

Wiedzieliśmy, że ten bałwan osłabionego i znikczemnionego rządu organ, przez osobistą

jeszcze niedoleżność energicznego kroku, względem zbawienia Polski, uczynić nie może. Takie było nieszczęśliwe nasze położenie!

Epoka jednakowoż przybycia księcia Jabłonowskiego do Wiednia, wskazywała nam niejakieś zorza wschodzącej na nowo nadziei. Cnotliwy i światły obywatel Wielhorski, utrzymujący interesa konfederacyi w Paryżu, miał gruntowne i niemylne zapewnienia, iż Durand wróciwszy na początku 1772 roku z Wiednia, odkrył gabinetowi swemu zaszcze potajemne między Wiedniem, Petersburgiem i Berlinem na zgubienie Polski zmowy, że głęboki w swoich zamiarach hrabia Broglie obszerniej jeszcze podania Duranda, przez niemylne przejrzenia swoje królowi przelożył, że na wyjawiony w ten sposób spisek, obudzi się z letargu Francya i chybionej względem siebie alianta otwartości w gabinecie wiedeńskim poszukiwać będzie.

Stąd się ciągnęły pasma niemylnych nadziei, iż Wiedeń jawnie deklarować się musi, albo Francya z łudzącym się sprzymierzeńcem pokój zerwie. W takim stanie rzeczy miała się czem zasilić gorliwość i ukrzepić stałość gorliwego Polaka.

Udzielałem tych wszystkich cieszących wiadomości Roztworowskiemu, staroście żytomierskiemu, obywatelowi z enót i światła tak słyn-

nemu, który dla naszych interesów w Dreźnie bawił.

Książę Jabłonowski z woli generalności dawał poznać kardynałowi, iż nam nie były tajne wysłedzone przez rząd francuski zamachy w ciemności na zgubę Polski kute; ale zgrzybiałego w gabinecie Kaunitza czynność umiała czuwać, aby epikurejczyk na rozwiozłości zasypiał tak długo, że gdy mu książę Jabłonowski nie przestawał powtarzać swych zleceń, on mu oświadczył troskliwość swoją o jego osobę, która jak mniemał, zaczęła być podejrzaną posłowi rosyjskiemu i pruskiemu. Zapewnił go na to książę, iż wiadano u dworu, że on do córki swojej przyjechał, która się edukowała w Wiedniu i bawiła w klasztorze Urszulanek.

Okoliczność ta zapewne nie była tajną, bo piękność młodej księżniczki Jabłonowskiej była w stolicy głośną. Józef II. widząc ją na promenadzie publicznej, dowiedział się o jej familii i w posiedzeniach do zazdrości Niemek o pięknej Polce rozmawiać lubił.

Tymczasem dzień każdy zbliżał ostatnią dla kraju godzinę, a kardynał nieczułością co dzień nas bardziej zasmucał. Zgoła iż skróć momenta okropnej niepewności, w której kilka miesięcy przeżyć wypadało, przeglądał książę Jabłonowski, że zostanie bez korzyści dla kraju.

Niezmordowany Wielhorski zaczął narzekać

na słabość Ludwika, utracił zupełnie nadzieję, aby w publicznym charakterze uznanym został i już ani ludzi się pozwalał, ażeby ubogi skarb wersalski potrzebne na dzielne powstania narodu polskiego udzielił subsydy. Cnotliwy Roztworowski nieomylny podział Polski przepowiadał; Pac, Bohusz, Lniński mieli powody wierzyć, że Austria wyda ich osoby.

Wojska współdzielących się mocarstw coraz otwarciej nachodziły granicę; nie jeden z obrońców ojczyzny pod obcy zabrany karabin, niewolę przyjąć musiał. Już nic nie było świętem przed najeżdzcą; bliską eksplozyę groźną wszystkie okropne i ponure przepowiadały wrogi.

W tem naszym konaniu zgłosił się książę Jabłonowski do generalności, już prawie niepotrzebną dłuższą swą bytność w Wiedniu przekładając. Odsunął się już wtenczas od pracy, gdy już mu nic czynić nie pozostało; ja tylko sam jeden do samego dna kielich goryczy wypić musiałem! O godzino okropna! w którą wezwany do l'abbé Gorgel, usłyszałem od niego niecofnięty wyrok: «*Votre pays est partagé!*»

Bylem w rozpaczy; wziął mnie do posła; zastałem go w kąpieli.

Spostrzegłem zbląkane oko i twarz zmienioną. Odezwał się do mnie: «*Nous sommes perdus!*» mógł to do siebie niedoleźnik powiedzieć, bo mu dopiero z Paryża doniesiono, że Polska

podzielona, tak pięknie interesów Francyi i naszych w Wiedniu pilnował?

Pyta się, gdzie marszałkowie? radził abym ich kuryerem przestrzegł o nieszczęśliwym losie i aby krajowi austriackiemu odtąd nie ufali, aby wyjeżdżali; pytam dokąd? do Bawaryi, do Monachium, odpowiada — kazał sobie listę podać i z niej czyta: Pac, Ogiński, Bohusz do Wiednia niech się przebijają pod innemi nazwiskami, dam im schronienie i bezpieczeństwo w moim pałacu. Pac naprzykład, niech przyjedzie pod nazwiskiem barona Szeling; o takim powiem Kaunitzowi Polaku, że jest moim przyjacielem, i że mu u siebie dam schronienie i t. d. Dorozumiałem się, iż te osoby miał szczególnie sobie zalecone od ministra z Paryża.

Bez stracenia czasu wysłałem Łukowicza do generalności, która już się była rozpierzchła. Jedni z Cieszyna do Zielonej się przenieśli i doświadczali powszechnego prześladowania; inni wracali do domów. Prawie codziennie byłem do posła wzywany, jeżeli jakich nowych nie mam wiadomości o osobach składających konfederacyę. Odpowiedziałem zawsze, że tylko smutne mnie dochodziły; zapalony był niewczesną zemstą ten leniwiec przeciw dworowi wiedeńskiemu, nie dla tego zapewne, iż się do rozbioru Polski przyłożył, ale że krok tak ważny, nad którym czuwać był wysłany, utaić mu umiano.

W takim tragicznem rozwiązaniu się rzeczy, któżby był mógł na początku sceny w roku 1769 powiedzieć, iż w tak wielkim narodzie, tak mała tylko cząstka uzbroi się do obrony egzystencyi swojej; że turecka potęga tak haniebnie zniesioną zostanie, że Francya to pierwsze z mocarstw europejskich, na pośmiech się tylko w obronie Polski wystawi, że wszystkie ludy ścierpią niesłychany krok polityczny, że nakoniec, chociażby tylko handlowe zyski nie obudzą Anglii i Holandyi. Tego zapewne żaden Polak spodziewać się nie mógł, a ten, zasłonę nieczynności swojej (nie powiem zdrady) niepodobność dopięcia celu przekładał, zmyślał przed swymi nieszczęśliwymi braćmi, zmyślał przed swoim sumieniem, które mu zbrodnie opuszczonej obrony kraju wyrzucało.

Wkrótce potem przybiegł marszałek Pac do Wiednia, już jako nieszczęśliwy tułacz i przez Łukowicza do mego mieszkania został wprowadzony. Uwolnijcie mnie od malowania obrazu naszego uciśnienia! Pobiegłem zaraz do posła, tam marszałek d'Arencourt pokazał mi pokoje przygotowane dla barona Szeling. Zawiozłem go, a kardynał uczyniwszy się umyślnie niewidzialnym, z nim tylko samym kilka godzin przepędził. Wiedziałem potem doskonale od sekretarza Gorgela, że kardynał powziął dla marszałka szacunek.

Pac nie miał koniecznie tej w oczy bijącej figury, otyły i nie bardzo wysoki, ale jak powiedziałem, tonu i charakteru słodyczą ujmował każdego. Tłómaczył się płynnie, logicznie i wyborną francuzczyzną. Przybył potem hetman wielki litewski Ogiński; Lniński marszałek pomorski; Bohusz sekretarz generalny; Miączyński nieszczęśliwy i t. d.; wszystko się to prezentowało kardynałowi, który z wszystkimi Francuzami nie miał podziwienia nad wyborem ludzi, ich gorliwością i edukacją. Dał im nietylko kilka obiadów, ale nawet z przyjaźni umyślnie dla nas tak asamble ułożył.

Zapewniał wszystkich z żywością francuską, że wyraźnie powiedział Kaunitzowi, że bawią u niego nieszczęśliwi Polacy, lepszego losu godni; że ufa, iż znajdą w jego domu zupełne bezpieczeństwo. Na co naturalnie nie mógł, jak tylko pochlebnie mu odpowiedzieć. Te wszystkie grzeczności nie mogły nas z Francuzami pogodzić, lubo się zawsze do ogólnych jeszcze nadziei odwoływał:

Le partage ne s'est fait, sans être l'occasion des querelles entre les partageurs. Czytany był ustawicznie Rousseau: *vous ne sauriez empêcher, qu'ils ne vous engloutissent; faites au moins, qu'ils ne puissent vous digerer.*

Tymczasem zapewnione zostało schronienie dla generalności, to jest niektórych osób do niej

należących, w Monachium i tam też się niezwłocznie udali. Kardynał dał zapewnienie osobiste Pacowi, iż jeżeli do kraju wrócić nie chce, w Strasburgu znajdzie zupełne bezpieczeństwo i przygotowane dla siebie wygody — i słowa dotrzymał.

Nim nastął rozjazd, wymógł na mnie Pac z innymi, abym się do czasu niejakiego jeszcze w Wiedniu pozostał, dla korespondencyi i przeprowadzenia nieszczęśliwych rozprószonych i błakających się rodaków. Nie mogłem im tej ostatniej odmówić usługi, a gdy marszałek księciu kardynałowi potrzebę zostania się mego jeszcze na miejscu przełożył, ksiązę potwierdził to owszem, dodając dla mnie słowa bardzo pochlebne. Nie potrzebował wcale wasz ojciec jego zalety, ani jej nie cierpiał. Posiadałem całą ufność i serca wszystkich cnotliwych współziomków. Ani się tu rozwodzić będę, ile każdemu uczyniłem przysług, ile do ostatniego momentu sprawie publicznej, w miarę mych sił służyłem.

Mnie oddane były najważniejsze papiery, aż do bezpiecznego dalszego losu marszałków; mnie poruczono ocalenia różnych rzeczy ukrytych, mnie nakoniec pozostało się wydobyć zawikłane, jak to zwykle bywa w takim razie, okruchy subsydyów francuzkich i niemi jadących do Bawaryi zasilać. Brea bankier, który nam zwykle wypłacał pieniądze, wyprowadzał się ze mną

do posła, kładł swe rachunki, aby nasze zma-
zać. Trwało to długo i nakoniec wydobyłem je-
szcze blisko dwadzieścia tysięcy czerwonych
złotych i te Pacowi z zgromadzonymi jeszcze
w Monachium reprezentantami konfederacyi od-
dałem. Miałem je sam odwieźć i dzielić losy
z wygnańcami, ale najtkliwsze listy ukochanej
matki, która przy wkroczeniu już Prusaków
w rozpaczy była, skłoniły mnie inaczej, albo
raczej przyrodzenie kazało mi być synem i wró-
cić do domu.

Upadły natenczas wszystkie nadzieje; sekre-
tarz Gorgel powiedział mi, że się ich ambasada
skończy, że kardynałowi wyrzucają pomyłki,
dodając, że jednak cała wina była w słabości
rządu i wyższości gabinetu wiedeńskiego nad
wersalskim; że *duc* d'Aiguillon miał powiedzieć
przed wysłanym na wybadanie gabinetu wer-
salskiego od Fryderyka panem Sandos, że los
Polski wcale Francyi nie zatrudnia. Zgoła nie
tań zapóźno rozżalony Francuz, że Polacy ża-
danej nadziei mieć nie mogą, chyba w okoliczno-
ściach odległych i nieprzejrzanych.

Doniosłem to wszystko marszałkom, z któ-
rych już każdy nie cofnięty czuł wyrok i po-
wszechnie powrót mój aprobowali do matki.

Co się tyczy zdobytych pieniędzy, wyraźnie
mi napisano, abym sobie przynajmniej tysiąc
czerwonych złotych zatrzymał; ale tej ofiary

nie przyjąłem i zostawiwszy sobie, coby mi na drogę wypadło, resztę odesłałem. Zaczekałem jeszcze w Wiedniu, czy pieniądze doszły. Znajdziecie w moich listach wyrazy Paca, który za rzadką cnotę biorąc postępowanie moje, zadziwia się nad delikatnością moją.

Zapas mój do domu był tak szczupły i skąpy, że pod Lesznem wyboczyłem do pana Turno, stolnika poznańskiego, także będącego konsyliarzem w generalności, który mi dziesięciu czerwonych złotych pożyczył na dokończenie podróży do Prus. Zapomniałem ja był o tym dłużniku i stolnik nigdy mi go nie przypominał, dopiero po jego śmierci, już podobno w roku 1791 przyslanemu od pani stolnikowej z moją kartą strzelcowi te pieniądze oddałem.

Tak się ojca waszego skończyła epoka pierwsza kolei politycznej. Wyszedłem z niej z czystym sumieniem. Wewnętrzne przekonanie każało mi się lękać nawet pozoru egoizmu. Słuchałem stale powziętej nauki: „*Nihil utile, nisi quod honestum; nihil miserum, quod non culpa contractum.*“ — Ukochane dzieci! dla was piszę historję mego życia, w niem dla waszego serca zbierać macie naukę!

Przebierając się do domu matki wstąpiłem po drodze do Welny, dóbr państwa Roztworowskich, gdzie już samego pana Roztworowskiego, starosty żytomierskiego, z Drezna przybyłego

zastalem. Tam również byłem tak szczęśliwy widzieć pierwszy raz waszą matkę. Stamtąd pojechałem do Margonina, dóbr państwa generalstwa Skórzewskich, gdzie przytomność panny Kunegundy Drwęskiej, przypominała mi słodkie momenta w Berlinie.

Sentymenta stale jej dochowane, radziły mi pozyskać jej serce, ale pamięć na obowiązki synowskie kazała mi się wstrzymać, aż do widzenia się z ukochaną matką, która będąc razem panią dożywotnią majątku, mogłaby sposobność do utrzymania siebie i żony odebrać. Panna Drwęska była, co do majątku uboga zupełnie, tak jak cała familia Skórzewskich, których była siostrzenicą.

Skórzewski jeden potem kasztelan chełmiński, ożeniwszy się z bogatą Czapską z Prus, założył węgielny kamień bogactwa swojej familii. General, co w Margoninie mieszkał, z chudego kapitana, cały swój majątek był winien swej bardzo bogatej żonie z domu Ciecierskiej. Siostry zaś tych Skórzewskich, z których i matka mej kochanki, można mówić, w ubogim były stanie, a brat Drwęski, pisarz poznański, przez ten urząd i bogate ożenienie się z Bielińską, znacznej doszedł z czasem fortuny. Kochałem się tylko w przymiotach, powiem w piękności, nie pomnąc najmniej na jej majątek.

Po niejakiem zabawieniu w Margoninie, wró-

ciem do Bendomina, siedliska mych ojców i przy boku ukochanej matki spocząłem; ale już kraj znalazłem żalobą okryty. Zagarnięta cała prowincya pod panowanie króla Imci pruskiego oczekiwała z trwogą i płaczem nowego panowania skutków, zbliżył się moment organizacyi kraju.

Zamilczę różne odmiany, wspomnę tylko, co było najboleśniejszego dla Polaków: nowy rodzaj podatków, na którego układy rozesłani zostali konsyliarze wojenni, krygsracy. Miłym więc i z tej strony byłem gościem dla matki, nieumiejącej języka.

Do mego powiatu był przysłany niejaki krygsrat Leo z Królewca. Zajechałem mu był drogę u wuja Lnińskiego i do mego domu zaprosiłem. Wielce był kontent Niemiec, żem widział różne kraje, że w mym domu zastał piękną bibliotekę i nieco obrazów, com sobie w Wiedniu kupił; także mały zbiór z historyi naturalnej nabyty jeszcze w Holandyi. Z takich powodów krygsrat Leo założył sobie w mym domu stacyę i w nim ekspedyował wiele sąsiedzkiej szlachty; którym mogłem czynić usługi, czyniłem ile możności i na moje dobra dość łaskawy podatek wyrobiłem. Z tej powziętej przyjaźni poszło, iż odjeżdżającego musiałem jeszcze w różne domy odprowadzić.

ROZDZIAŁ VI.

Polityczne życie autora po pierwszym podziale Polski.

Po wytrzymaniu tej pierwszej burzy, cały zajęty byłem gospodarstwem, upiększeniem domu w celu umieszczenia żonki. Zwierzyłem się z mych skłonności matce, która z początku na wszystko zezwoliła przyrzekając mi wypuścić dobra z pod dożywocia; z czasem jednak dowiedziawszy się, iż moja kochanka nie była posażna, czyniła mi macierzyńskie przełożenia. Ja w gospodarstwie zakładając wzrost majątku, wiele poczyniłem melioracyi; między innymi postawiłem wielką papiernię, która dotąd zapewne dość sławna.

Było to najwięcej skutkiem, że byłem w Holandyi, gdzie różne fabryki i budowle w tym rodzaju widziałem. Szło mi wszystko pomyślnie, a że nauki stały mi się konieczną potrzebą

dzieliłem mój czas między rolnictwo a czytanie książek, przybrałem sobie nawet kilku młodych z mej rodziny i im niektórych wiadomości udzielałem. Była to mała akademja.

Tak blisko rok upłynął, a ja o mej Kunusi ciągle myślałem. W tym czasie odebrałem umyślnego z Margonina, że pan generał Skórzewski umiera, i że pani generałowa z matką swoją, panią Ciecierską, pragną, abym do nich pospieszał; przypisała się także do tej odezwuy Kunusia; nie mogłem temu wezwaniu odmówić i do Margonina pojechałem. Generał Skórzewski na mych rękach skonał; odwiozłem go do grobu Reformatów w Labiszynie.

Pani generałowa wdowa, obszerne mi czyniąc nadzieje, ofiarowała mi za żonę swoją siostrzenicę. Ożeniłem się i w kilka dni po ślubie, gdy się także coraz słabszą czuła, wyjechała do Berlina.

Jam został mężem ślicznej i cnotliwej osoby, ale bez wszelkiego majątku i bez wiedzy matki. W Margoninie zarzucała mię babka interesami nie wspomniawszy o losie moim. Matkę wypadało mi przebłagać, żem się bez jej wiadomości ożenił.

Przebлагana nakoniec, otworzyła mi swój dom, gdzie z żonką pojechałem. Po różnych odmianach przyjechałem na żądanie babki do Margonina, gdzie mi ukochana żona nie żyjąc

ze mną jak dziewięć miesięcy umarła, będąc już blisko połogu. Przed tą okropną dla mnie stratą, nad którą długo nieukojone lzy lałem, dał mi książkę Jabłonowski, wojewoda poznański, a potem kasztelan krakowski, podwojewództwo poznańskie.

W ten sposób wyszedłem znowu na świat polityczny i lubo ten urząd nie wiele był znaczący, mile go z ręki tak przyjacielskiej przyjąłem. Były to skutki znajomości i związków naszych w czasie konfederacji barskiej, szczególnie podczas bawienia się naszego w Wiedniu.

Śmierć mojej żony tak mocno dotknęła matkę moją, iż wkrótce także umarła. W tych nieukojonych żalach i zawsze jak w obcym żywiole pod rządem pruskim nieukontentowany żyjąc, oddałem się znowu naukom i odważyłem się wydać książkę pod tytułem: «Myśli polityczne o wolności cywilnej». Słaby owoc niedojrzałych moich wiadomości, uczynił mnie jednak znajomym w Warszawie. Przypisałem to dziełko J. W. Raczyńskiemu.

Tymczasem przenieśliśmy się prawie zupełnie do Polski, szczęśliwy że mogłem znowu być Polakiem. Bawiłem się w Wielkopolsce, podwojewództwo sprzedałem i gdy ów sejm sławny roku 1776 nieśmiertelnego Andrzeja Zamojskiego do napisania praw krajowi wezwał, udałem się do

Warszawy w nadziei służenia ojczyźnie jako prawnik.

Przyjął mnie mile książę, wojewoda poznański i w swoim dworze umieścił. Tam mając sposobność poznać się z różnemi osobami, a zawsze szukając uczonych, chciały losy szczęśliwe, iż ci mnie do liczby swojej przyjąć raczyli.

Tu się zaczęła najchlubniejsza epoka życia mego. Ręka tajna, co losy ludzkie kreśli, przeznaczyła mi ufność, względy i przyjaźń polskiego Arystyda, Andrzeja Zamojskiego. On mnie wezwał do pomocy ułożenia kodeksu praw, dzieła wiekami oczekiwanego, które jemu naród jednomyślnie poruczył. Nim mogłem tak chlubnemu odpowiedzieć wezwaniu, prezentować się musiałem królowi, którego od sejmu roku 1767 nie widziałem, a jako poseł i konsyliarz barski w niezupełnie przyjemnej zostawać u niego musiałem opinii.

Przyjął mnie jednak dobry król z zwykłą słodyczą i do pracy około praw zachęcił.

Nie będę opisywał długich naradzeń, projektów do dzieła, powiem tylko, że pióro czyli redakcyja do niego mnie powierzoną została. Zacząłem w ten sposób być najcnotliwszego z ludzi domownikiem; praca moja stała, gorliwa pozyskała mi zupełnie jego ufność.

Przybraliśmy z prawników Węgrzeckiego,

Grocholskiego, w duchu przecież prawodawstwa prawdziwego przystarczali najwięcej światła, ksiązę Krzysztof Szembek, biskup płocki, JW. Chreptowicz, podkanclerzy litewski, prócz których z wszystkich części Polski i z zagranicy pisali i przysyłali nam swe myśli uczeni.

Ja odezwałem się do mego profesora prawa w akademii lejdejskiej Pestela, który mi jako uczniowi swemu z radością nadsyłał uwagi, które jako i inne dowody do historyi mego życia należące, w dodatku przyłączę, nie chcąc sobie tutaj przerywać.

Przybywszy do Warszawy, to mnie w prawdziwie ciężki smutek wpędzało, żem ją znalazł całą wesołą i powiem na łożu rozkoszy i zbytków razem z królem uspioną.

Nieszczęsny podział kraju zupełnie na zniewieściałych umysłach został zatarty. Nikt nawet o tem nie wspomniął i nawet o tem wspominać do złego należało tonu.¹⁾

Cieszyli się z tak nazwanego pokoju. Im dłużej bawilem w Warszawie, tem mię więcej martwił jej widok w stosunkach moralnych. Zacząłem nawet żałować Zamojskiego, jak mógł się podjąć pisać prawa krajowi, który się wyzuwał z swej zacności narodowej, który już

¹⁾ W dłuższym przypisku opowiada Wybicki o znanem wystąpieniu Rejtana na sejmie 1773 r. (*H. M.*),

nie miał cechy samowładztwa i niepodległości, bo mu poseł rosyjski we wszystkich obradach rozkazywał. Na jednym z naszych posiedzeń przeczytawszy Zamojskiemu me myśli, które do układu dzieła prawotwórczego zebrałem, przedstawiłem mu również moją troskliwość i obawę względem jego pracy.

A gdy dodałem, że dawni filozofowie nie chcieli pisać praw dla ludzi zepsutych obyczaj, spostrzegłem z cnotliwego Zamojskiego twarzy, iż ten wyraz wielkie na nim zrobił wrażenie. Odpowiedział mi tylko: »Już Łódź odbita od brzegu, trzeba się puścić na fale».

Ksiądz Szembek, biskup plocki, mąż wielce światły i cnotliwy, pochwaliwszy moje uwagi, rzekł: «Starajmy się przez prawa uczynić ten naród moralniejszym!» Nakoniec odezwał się Chreptowicz: «Nie traćmy o tym narodzie nadziei, nie jest tak zepsuty, kiedy cnotliwego Zamojskiego jednomyślnie za prawodawcę przyjęli!»

Zaczęliśmy na nowo działać; co niedziela zwyczajne mieliśmy posiedzenia, na które z przydanym mi sekretarzem panem Baszyńskim, potrzebne zbierałem materyały. Król mnie zobowiązał w sobotę bywać u siebie i już ułożone projekta komunikować, które zwykle z wielką uwagą czytał i zgłębiał i mnie różne zadawał kwestye.

Jednego razu, gdy mu przyniosłem statut Olbrachta o chłopach dodając, że to prawo wskrzeszone delikatnie, aby szlachty nie oburzyć; zapomniawszy, że król zbliżył się do mnie i uściskał, prosząc abym u niego na obiadach czwartkowych (na zawsze te obiady mądrymi były nazwane) bywał.

Tak więc do obiadów mądrych przypuszczony jeździłem na nie w towarzystwie mego mecenasa Zamojskiego. Prócz przysmaków stołu, wiele miałem prawdziwej rozkoszy być w tem zgromadzeniu, w którym istotnie najuczeńsi znajdowali się rodacy, a których przy tej sposobności miałem szczęście poznać. Król sprawiedliwie między uczonymi miał pierwsze miejsce. Jemu się tron na Parnasie należał, ale nie tron Sarmatów, gdzie coś podobnego do Piotra lub Fryderyka mogłoby ten naród przerobić i zagnęć do wzięcia tej postaci, do jakiej przeznaczyła go natura.

Zwykle przed obiadem zaczynały się rozmowy o umiejętnościach i kunsztach. Sławny Naruszewicz dziejopis i rymotwórca przy wesołym swym temperamencie zwykł, niby naczelnik zagajać posiedzenie jakimi przyjemno zabawnemi rozprawy. Co przecieź do piękności i tęgości wiersza przechodził go Trębecki, a gąsło wszystko, gdy się czasami ukazał Krasicki. Tam raz pierwszy poznałem sławnego męża

Ignacego Potockiego, którego logika, przyjemne wysłowienie i głębokie myśli zwykle mnie zachwycaly. Wreszcie każdy tam jakąś daninę muzom przyniósł; moje położenie było najprzykrzejsze, bo zagadniony od króla w materii prawniczej, z przykrością od beletrystów byłem słuchany. Po obiedzie rozpoczynały się na nowo rozmowy uczone i do nich szczególnie król należał, który obficie starcząc wina, sam tylko pił wodę. Miał wino wcale kosztowne węgierskie, które Popielem nazywał, tego dając po małym kieliszku i sam małeńki kieliszek zwykł pić. Jeden biskup Naruszewicz miał prawo do kilku kieliszków. Zostałem też tam pewnego razu między innymi goszczącymi brygadyera francuskiego Jakubowskiego, który razem z dziadem moim Lnińskim służył.

Ale wróćę się do mojej kolei życia prawotwórczego. Zarzuceni zawsze byliśmy różnemi odezwaniami i projektami ¹⁾. Pisałem i ja przy mej

¹⁾ W nadsyłanych projektach, pisze Wybicki w dodatku do swych pamiętników (Poznań, 1842. str. 7), „dostrzeżliśmy po większej części zaród fanatyzmu, samolubstwa lub dawnych z nierządu i feudalizmu wyległych uprzedzeń; rzadko który projekt miał cechę powszechniej użyteczności. Ow nietykalność obrządków i praw kościelnych kładł na czele wszystkiego; drugi w miarę swego interesu pisał o sukcesjach, dożywociach i wszelkiego rodzaju zapisach; tamtem całkiem za Statutem litewskim,

ogromnej pracy anonimowe listy patryotyczne do Zamojskiego, które w swym czasie wiele miały pokupu, czytano je i na obiadach czwartkowych nie wiedząc, że ja autorem. Ja już dzisiaj nie mam ani jednego egzemplarza. Uczynił z nich wyciąg Anglik Kok, co czytałem w jego podrózach. Wyjął całkiem uwagi nad artykułem naszych chłopów poddanych.

Zamojski opatrzył bibliotekę w zbiory prawodawstwa różnych krajów, które zwykliśmy czytać, a przesyłane listy od prawników i uczonych ze wszystkich stron wyczerpały, powiem wszystkie źródła prawnictwa. Są tego po większej części u mnie zachowane rękopisma, gdyż wszystkie odezwy były w moim składzie. Dostrzeżliśmy już wtenczas, że mało nam się spodziewać należy zgodności na sejmie. Szła jednak praca, gdy tymczasem nowe mnie czekało przeznaczenie w roku 1777, gdy mnie komisya edukacyjna wizytatorem szkół litewskich zrobiła.

Trzeba wam wiedzieć, że po zgasłym zakonie Jezuitów, którzy, jak czytaliście w początku mego życia, byli arbitralnymi samowładcami

ten za dawnemi kraju prawami z małą tylko odmianą obstawał. A gdy różni w różne wpadali przedmioty wszyscy prawie przestrogi dawali, aby materji poddaństwa nie tykać, lub też z wielkimi ostrożnościami o niej wspominać. (H. M.).

edukacyi publicznej, któremu miłości do nauk zaprzeczyć nie można, uchwalił był z sejmującymi w roku 1775 stanami, utworzenie komisyi edukacyjnej, której dozór nad zaszczerpieniem i rozkrzewieniem edukacyi publicznej zupełnie był poruczony.

Do niej należały również wszelkie fundusze z dóbr pojezuickich pochodzące, a to na utrzymanie nauczycieli i t. d. W tym początkowym utworze tak wielkiej magistratury narodowej, biskup wileński został nominowanym jej prezesem przez króla; wyłącznie jeszcze tenże upoważnionym został do zarządzania wielkimi dochodami z funduszów pojezuickich w Litwie. Kiedy przecież w dwuletnim urzędowaniu takowem, dostrzegła komisya edukacyjna wielkie nadużycia w niebytności prezesa, postanowiła wysłać wizytatora do Litwy, końcem otrzymania zupełnego raportu o stanie nauk w Litwie, jako i o szafunku dochodów.

Z powszechnego uprzedzenia musiał być wizytatorem szkół koniecznie duchowny, w którym to stanie zbiór wszystkich nauk upatrywano. Ale gdy w obecnym przypadku żaden się z duchownych tej wizyty przeciw biskupowi wymierzonej, podjąć nie chciał, nastąpiły wielkie narady w komisyi, czyby kogo z świeckich do takiej funkcyi przeznaczyć nie można. Odezwał się nakoniec prezydujący ksiązę prymas Ponia-

towski, do Zamojskiego, iż Wybicki, którego za współpracownika miał do zbioru praw, do tego zdającym być mu się widzi. Zamojski oddał mi pochlebne zaświadczenie; szło tylko o to, żeby mnie nakłonić do przyjęcia tak ważnego urzędowania i na każdy przypadek umieszczono mnie w liczbie członków płatnych do ksiąg elementarnych wyznaczonych; zresztą poruczono Zamojskiemu, aby mnie na czas niejaki od pracy uwolnił i do tak ważnej posługi krajowi wezwał. Stąd wynikło, iż Zamojski, wróciwszy z sesyi izby edukacyjnej, mnie jako wizytatora powitał i rzecz całą objawił. Bez wahania się tak chlubną dla mnie misyę przyjąłem, jeżeli pan Zamojski uwolni mnie od kilkumiesięcznej pracy w praw redakcyi; a gdy się do tego skłonił, doniósł zaraz księciu prymasowi, na sesyę izby edukacyjnej zawiózł, gdzie po najchlubniejszym dla mnie przywitaniu, przez mężów prawdziwie znakomitych, za członka do ksiąg elementarnych przyjęty, i na wizytatora akademii wileńskiej i szkół litewskich nominowany zostałem. Na tak chlubne dla mnie przeznaczenie, niebawnie udałem się z przydanym mi sekretarzem, panem Burakowskim.

Nie będę wchodził w różne szczegóły mej misyi, bobym się zanadto oddalił od treści tego dzieła; znajdziecie w składzie pism moich własną ręką pisane niektóre projekta; tu tylko

wspomnę, iż król, do którego na pożegnanie byłem wprowadzony przez księcia Imci prymasa, brata, bardzo mnie laskawie przyjął i uczyniwszy niektóre swe uwagi, co się tyczy nauk, zalecił, abym śledził w miasteczku Merez, między Grodnem a Wilnem, gdzie król Władysław IV. umarł, czyby się nie znajdowały jakie ślady pobytu jego i śmierci w tej mieścinie, w ogromnej puszczy od mego przejazdu leżącej. Umarł tam ten sławny Władysław roku 1648, który był przeznaczony panować Moskwie i tron jej osieść.

Od Grodna, gdzie wizytę mą rozpocząłem, jechałem po większej części puszczą ciemną, a gdy mi się pas u powozu zerwał, przywłókł się wizytator na drągach do Merez, gdzie księża Dominikanie uczyli.

Jak to miasto było kwitnącem, dość wspomnieć, że w niem szewca, a tem bardziej rymarza nie zastałem. Lajek tylko dominikański z rozkazu zapewne przeora, z swojej cholewy pas zerwany od powozu wizytatorowi sporządził. Powróciwszy do Warszawy, odpowiadając króla woli, opisałem mu obraz tej smutnej mieściny, dodawszy że śladu niema, gdzieby tam Władysław żył i umarł; domyślają się tylko, że mieszkał w domu blisko Dominikanów, gdzie zastałem żyda arendarza. Dom

zresztą drewniany, wybudowany na fundamencie framug murowanych okiennych.

W Mereczu odbywszy wizytę, stanąłem w Wilnie dnia 24. czerwca 1777 r., gdzie jak wypadło, byłem zaraz u księcia IMCi Massalskiego, biskupa wileńskiego, z daną mi instrukcją od komisji edukacyjnej, której on był prezesem. Przyjął mnie jak domyślać się mogłem, zimno, wizyty wszelako nie bronił, którą też dnia 26. czerwca rozpocząłem.

Na mowie mojej publicznej znajdował się sam książę i wielu panów, także rektor akademii ksiądz Żaba, i sławny profesor astronomii, ksiądz Poczobut. Biskup wileński był postaci przyjemnej, charakteru słodkiego i na nabytych nie schodziło mu naukach; ale jak zwykle nasze magnaty, nie wchodzący w ścisłą rachubę dochodów i wydatków, zostawał zawsze w potrzebie na zbytki; ztąd nie tak on, jak jego faworyt oficyał ściągał rękę do kasy edukacyjnej na potrzeby domowe. Co tylko przybyłem do Wilna, przychodziły do mnie skargi profesorów, emerytów, że ich wyznaczone nie dochodziły pensye, że fundusze edukacyjne na prywatne poszły użycia.

Jakoż gdy w Grodnie, Mereczu, Wilnie i Kownie troskliwego wizytatora zacząłem pełnić urząd; i nauki opuszczone, szkoły osierociałe i zaległości wielkie w kasie księcia z pobiera-

nych intrat edukacyjnych, znalazłem. Objął to obszerny raport, który w komisji edukacyjnej złożyłem.

Szkoły litewskie miały intraty roczne blisko 600.000 złt. pol. a jak najgorzej były zarządzane, gdyż intraty te były w ręku księcia biskupa. Jakoż wyrachowałem mu, że się blisko 30.000 złt. kasie zadłużył i te wypłacić musiał. A że mi była moc dana, w przypadku nieregularnych rachunków kasowych, kasyera ustanowić, przeto na takowy urząd wezwałem wielce cnotliwą osobę pana Lutomskiego, mego współziomka. Ten mój krok oburzył niezmiernie biskupa; ale mimo doznawanych nieprzyjemności, pełniłem moją powinność z nieugiętą stałością. Pozyskałem w nagrodę ufność i szacunek wszystkich dobrze myślących obywateli i uczonych profesorów, w liczbie których Poczobut astronom, był u mnie w najwyższem poważaniu, i ja od niego byłem szczerze kochany.

Tymczasem to gorliwe postępowanie w powinnościach wizytatora, wielce się nie podobało panu Tyzenhaus, podskarbiemu litewskiemu, który gdyby nie wiedział, że był wysłany od księcia prymasa Poniatowskiego, byłby mi może przez przyjaźń dla biskupa Masalskiego, jaką wyrządził nieprzyjemność, jak mnie przestrzegano. Ale ja się z tych pogroźek natrząsał, a kończąc wizytę, posłałem mu list od księcia

Prymasa, przyłączając razem i mój bilet z wyrazem, iż tak znakomitego ministra życzylbym sobie poznać.

Odpisał mi jak najgrzeczniej i prosił, abym powracając na Grodno, do niego wstąpił, dla dania księciu prymasowi sprawiedliwego o nim zdania. Żegnając się z moimi przyjaciółmi i żegnając publiczną mową akademię i szkoły, biskup wileński tentował jeszcze przez różne osoby zmiękczyć mnie dla siebie, ale tak jak na urzędnika publicznego przystało, odrzuciłem wszelkie ofiary, nic sobie z wszystkich niechęci nie robiąc. Z powrotem do Warszawy wstąpiłem do podskarbiego Tyzenhaus. Muszę wam choć szczerzyły jego obraz wystawić.

Był to prawdziwy minister, jakiego kraj nasz potrzebował; był to geniusz, którego puszcze litewskie wydały. Widząc on, że szczególnie Litwa bez żadnej rękodzielni i fabryki, że przeprawy i drogi były okropnemi puszcami zakryte, lub bagniskami zalane, że wymiaru gruntów nauka nieznaną była; zgoła, że cały niemal kraj miał postać dzikości; postanowił go zmienić tak, jak na wiek cywilizacyi przystało.

Odprawił w tym celu różne zagraniczne podróże i wszędzie się uczył, aby krajowi swemu mógł być w przedmiotach administracyjnych użytecznym. Wszędzie, gdzie zdołał, zamawiał rękodzielników wszelkiego rodzaju, fabrykantów

i t. d. W takie opatrzone środki, pozyskał całą ufność króla i ogromne dobra stołowe królewskie w Litwie w swoją odebrał posesyę. W tych przeto, jak na wielkim warsztacie przemysłu swego, założył pracownię.

Z wielkiem mojem podziwieniem pokazywał mi ogromne gmachy, które pobudował. Horodnica na przedmieściu Grodna, gdzie wiele fabryk założył, mogłaby się w Amsterdamie mieścić. Łosośna, miejsce w prześlicznej dolinie blisko Grodna, gdzie najwięcej rękodzielników miało swe warsztaty założyć, wstawiła mi obraz prawdziwej cywilizacji.

Podskarbi widząc, jak umiałem cenić te wszystkie geniuszu jego płody, woził mnie po folwarkach nowego zakładu, gdzie wszystkich najprzedniejszych krajów rolniczych spostrzegłem zawiązki.

Wreszcie że tu skończy, jeździliśmy drogami pod sznur przez niego wyprowadzonymi, gdzie dawniej zatopy i kręta kolej bronila pośpiechu i bezpieczeństwa podróżnemu; a gdy dzień cały sfatygowani takimi ekskursyami, wróciliśmy do Grodna, z wyćwiczonych uczniów swej szkoły dramatycznej sceny mi na zabawę wystawił.

Nie jest tu miejsce, abym wszystkie dzieła przemysłu, jakby czarodziejską sztuką, przez podskarbiego wyprowadzone, wyliczał; powiem tylko z żalem, że ziemia nasza nie była jeszcze przy-

sposobioną przyjąć w nią rzucone nasienie tylu ekonomiczno - politycznych korzyści. Takim to nieszczęściem, gdy już inne kraje zajaśniały w całym blasku przemysłu i handlu, bogactwy, na naszej ziemi nie się zawiązać, tem mniej dojrzeć mogło.

Z jednej strony zazdrość, z drugiej ciemnota, wszelkiej bądź najużyteczniejszej nowości nieprzyjaciółka, sprzęgły się na dzieło podskarbiego; a gdy dla dróg prostowania i wychędożenia zgnilych, ciemnych puszczy, dotknął się siedziby drugiego, zaczęto na gwałt dzwonić.

Tyzenhaus jest tyran, despota! powszechnie rozeszły się głosy i aż do uszu króla trafiły. Tu w jego obronie jeden tylko stanął książę prymas Poniatowski, bo on tylko jeden z całej rodziny królewskiej posiadał tęgość i stałość charakteru. Za moim powrotem wystawiłem obraz czynów jego w jak najkorzystniejszym świetle, a jeżeli nawet powiedziałem, dopuścił się niekiedy jakiego gwałtu, każdy kraj barbarzyński, przeistaczając się w ucywilizowany, tego doświadczyć musi. Jakżeż nie krzyczały bojary na Piotra W. Ileż potwarzy na Richelieu nie rzucił feudalizm? Dodałem nareszcie w raporcie moim publicznym, że jeżeli nauki matematyczne bardziej w Litwie, niżeli w Koronie kwitnęły, było to skutkiem usiłowań podskar-

niego, który upowszechnił po całym w. księstwie miernictwo, budownictwo i t. d.

Tymczasem pod różnymi barwami gwałtów i niesprawiedliwości wystawili królowi ci, którzy zbogacone przez niego i z błota wydobyte dobra stołowe, sobie na połów przeznaczyli. Napróżno ksiązę prymas stawał w obronie podskarbiego, sprzeciwiał mu się szczególnie marszałek nadworny Rzewuski, Tyzenhauzowi rządy dóbr stołowych odebrano, w których przez taką zmianę miliony na kulturę łożone przepadły, wszelki przemysł w nich zamilkł, fabryki upadły, wspaniałe gmachy poszły w rozproch.

Taka to, dość powtarzać nie mogę, nieszczęśliwa gwiazda nad naszym zawieszona krajem, żadnemu przemysłowi w nim zawiązać się nie dała; jeżeliby co mojem zdaniem zarzucić było można podskarbiemu Tyzenhaus, to, iż stopniowaniem nie szedł do zarodu i rozkrzewy kultury, iż chciał na puszczech litewskich od razu Holandję kwitnącą widzieć, która wiekami zwolna do swej dojrzałości się wznosiła.

Tak już prześladowanego pożegnawszy podskarbiego, pospieszyłem do Białegostoku, gdzie na mnie u pani Krakowskiej, siostry swej, ksiązę prymas czekał.

Korespondując ciągle ze mną z Wilna, bardzo był kontent, żem jego wyborowi odpowie-

dział i bardzo mnie łaskawie w Białymstoku przyjął.

Przeczytałem mu myśli do raportu, który z urzędu wizytatora w komisji edukacyjnej złożyć musiałem; pochwalił wszystko i bez samochlubstwa powiem: dziwił się gorliwości i zdatności mojej; gdyby mnie widoki jakie do zysku lub promocyi wiodły, ten moment przy protekcyi księcia prymasa, wszystkoby mi mógł obiecywać; ale ja zawsze w skromnych granicach co do znaczenia i fortuny zamknięty, nie szukałem szczęścia, tylko w oświeceniu się i usłudze krajowej.

Zostawiwszy księcia prymasa w Białymstoku, pospieszyłem do Warszawy; ile że mój Solon za moim powrotem tęsknił. Oddałem się na nowo całej pracy, w której się zadłużyłem. Dzień i noc przebiegałem projekta, które do Zamojskiego podczas mojej niebytności nadeszły. Wkrótce wzięły sesye swój bieg zwyczajny i praca postępowała.

Tymczasem dowiedziawszy się, iż ksiązę Maassalski również przybył do Warszawy, z narady księcia prymasa odezwać mi się wypadalo, jako do prezesa komisji edukacyjnej, aby dzień wyznaczył, w którymbym mógł raport z urzędu wizytatora złożyć.

Biskup wileński umyślnie na złożenie raportu mego do Warszawy zjechał; w myśli zapewne,

że przytomność jego sprawi na mnie jakie skutki, widokowi jego potrzebne. Ale się pomylił. Przytomność tego, przeciw któremu mówić miałem, zmienić mnie nie mogła.

W raporcie obszernym wystawiłem bez zmięszania się czystą prawdę, a w jej wystawieniu najmniejszej obrazy przeciw biskupa osobie nie dopuściłem się. Plenipotent jego Dydyński i ksiązę oficyał, mieli w moim raporcie pierwszą rolę obwinionych, tak co do zaniedbanych nauk, jako i do kasy edukacyjnej źle użytej. Raport mój trwał dwa dni, który, że czynilem na posiedzeniu komisji w zamku, król nieznacznie kazał drzwi uchylić, aby go słyszał. Nauki źle urządzone lub wcale zaniedbane, dochody tak znacznie roztrwonione, wielce to wszystko zastanowiło króla, jakem się później dowiedział. Raport mój zasłużył sobie na powszechną pochwałę; między innymi ksiązę Sułkowski, wówczas wojewoda gnieźnieński, powiedział: «Raport ten powinienby się znajdować na czele naszego archiwum, aby za wzór służył wszystkim wizytatorom i t. d.»

Cierpliwie i z wszelką skromnością słuchał mnie ksiązę Massalski, a gdy już skończyłem, przemówił z przyciskiem: «Trzeba oddać słuszną gorliwość i światłu wizytatora, ale komisya nie wie, w jaki sposób wynagrodzić jego trudy i prace».

Chciał mówić dalej, ale ja w zapale przerwałem: «Nie zna ksiązę mego charakteru, ani sposobu myślenia, jeżeli do takiej wielkiej sprawy jaką jest edukacya narodu, mogłem się choć w malej tylko części przyłożyć, aż nadto już wynagrodzony jestem».

W największym zapale to powiedziałem, bom się domyślił, że mnie ksiązę chciał zdekoncertować, że nic mi nie dadzą za tę wizytę. Oddaję sekretarzowi papiery i nagle się od stołu oddalam; wszyscy członkowie i sam prezes pomieszczeni na takowe moje uniesienie, wszyscy milczeli; jeden tylko ksiązę Stanisław Poniatowski, którego świeżo z Anglii przybyłego, król jako synowca w komisji edukacyjnej umieścił, ścisnął mnie za rękę mówiąc; «Bardzo się kontentuję z tak pięknych jego zamiarów i systemów i zamawiam sobie przyjaźń jego». Jakoż zaraz nazajutrz mnie odwiedził i już ciągle oddawał mi swą całą ufność.

Ukochane dzieci! dzień w ten sposób ukończonego mego urzędu wizytatora, był prawdziwie dniem tryumfu dla mnie. Najmilszem jest dotąd mojem wspomnieniem.

Od tego czasu aż do roku 1780 nie będę wyliczał szczegółowych wypadków, chcąc dojść bez przerwy do epoki tak nieszczęśliwej, w której dzieło Andrzeja Zamojskiego swój koniec wzięło. Już wam wspomniałem, jakie gotowały

się zaburzenia, na zniszczenie zbioru praw Andrzeja Zamojskiego. Lecz co było najboleśniej, zapewne to, że ci wszyscy, którzy się najwięcej na nasze prawa oburzali, wcale ich nie czytali. Projekt ten do zbioru praw, już prawie w roku 1778 był ukończony i wydrukowany, ale z woli króla odłożone było podanie jego na sejm roku 1780, na którym spodziewał się król mieć znaczną liczbę światlejszych i krajowi dobrze życzących posłów.

Z takowego układu ja miałem być posłem z Wielkopolski, abym każdego artykułu zaskarżonego na sejmie mógł tłómaczyć zamiar i pożytek. Opatrzony więc listami króla i księcia prymasa, udałem się najprzód do JW. generała wielkopolskiego, Kazimierza Raczyńskiego największy wpływ w obradach sejmowych mającego, który gdy mnie zapewnił, że wszelkiego z swej strony dołoży starania; pojechałem z niektórymi moimi przyjaciółmi na sejmik do Środy.

Lecz zaraz po moim przyjeździe, spostrzegłem na twarzach zapaloną ku mnie niechęć; przechodząc odbierałem komplementa głośnie: «Oto ten jegomość, coby chciał chłopów w szlachtę obrócić, a nas w chłopów». «Więcej» odezwał się drugi: «Onby chciał nasze córki w chłopianki obrócić». Te i tym podobne głosy, ich a mnie hańbiące, po wszystkich stronach dały się słyszeć.

Zacząłem się wahać, czy się pokazać na sejmiku, dostrzegłszy takie zajadłe przeciw mnie umysły; wtem bardzo rano przed rozpoczęciem sejmiku odbieram przez przyjaciela mego bilet od JW. Raczyńskiego, w którym po najszczer- szych oświadczeniach wyraził, iż nie jest w mocy ludzkiej uprzedzone przeciw dziełu Zamojskiego umiarkować umysły i że wszystkie jego stara- nia dla utrzymania mnie posłem były nadare- mne, że lęka się o moje życie i do kościoła wchodzić nie radzi!

Sprawdzili to moi przyjaciele, którzy zasa- dzonych kilku opojów w dzwonnicy znaleźli, co na moje czyhali życie; nie pozostawało mi wię- cej nic, jak tylko to miejsce politycznego roz- boju opuścić, abym i siebie chronił i nowego rodzaju hańby krajowi oszczędził.

Napisawszy więc bilet do Raczyńskiego, iż na sejmiku znajdować się nie będę, wyjecha- łem. Powiadano mi, iż Raczyński po zagajeniu sejmiku miał żale wynurzyć, iż uprzedzenie nie przypuściło mnie do kandydatów na posła i t. d.

W gronie kilku światłych przyjaciół wyje- żdżając ze Srody rozważyliśmy tego odwie- cznego ducha swawoli i anarchii w Polsce, któ- rego do wieku XVIII. dochowawszy, zaguby swojej politycznej blizki zgotowaliśmy sobie ko- niec. Powiadano mi później, iż to jeden z ka- sztelanów wielkopolskich był na czele tych usta-

wionych na mnie siepaczy. Wymienić go? należał on do najpierwszych familii wielkopolskich, lecz go zamilczę, albowiem wspomnienie jego miałoby cechę zemsty, a ja piszę: „*Sine ira et studio*“.

Powróciwszy wkrótce do Warszawy, już Andrzeja Zamojskiego w niej nie zastałem. Ten szanowny mąż widząc intrygami i uprzedzeniami zajęte umysły, pił spokojnie kielich goryczy i składając w ręce królowi swe dzieło, przemówił: «Składam w ręce WKMości pracę moją, do której mnie wezwać raczyłeś. Sejm ma zupełną władzę przyjąć ją albo odrzucić; moje myśli były czyste». Przytem pożegnał króla i odjechał; do mnie łaskawy zostawiwszy bilet, który się zaczynał:

„*Curavimus Babiloniam*“. W bilecie wyraził to, co do króla przemówił; wreszcie przekładał mi, abym w każdym przypadku był spokojny; na końcu dodał: że, aby mu pamięć moja była zawsze przytomną, zabiera z sobą mego siostrzeńca Owidzkiego.

Powszechnie już wiedziano w Warszawie, że mnie poselstwo nie doszło. Król na to zdał się być zasmuconym i po różnych ze mną rozmowach powiedział:

«To na sesjach prowincjonalnych dokażę, że waćpanu będzie dana wolność znajdowania

się przy marszałku i stawania w obronie praw Zamojskiego».

Projekt ten szczególnie popierali książę prymas i książę Stanisław Poniatowski, ale napróżno. Taka była intryga opracowana, że wspomnieć nawet Zamojskiego nie było wolno. Tego rodzaju niesprawiedliwość i nieczułość na swój własny interes, w żadnym kraju nie była doświadczoną, sprzeciwiało się to wszystko zdrowym zmysłom, ale spieszę do końca tej smutnej sceny.

Skoro się na sejm zjeżdżać zaczęto w roku 1780, starałem się każdemu z sejmujących przesłać drukowany projekt zbioru praw, na którego druk Zamojski wszelkie koszta poniósł. Marszałkiem tego sejmu był Antoni Małachowski, sekretarz koronny. On był osobistym przyjacielem Zamojskiego; ale skoro wyszedł do łaski projekt jego pracy, wszczęła się wrzawa, jak gdyby jaki ogromny potwór zjawił się w izbie; wolano: Nie ma zgody! Wreszcie rzucono projekt, niby to w wściekłości o ziemię, do czego zdaje mi się dał pierwszy przykład poznański poseł Sokolnicki.

Napróżno król i marszałek wzywał do porządku, napróżno król z zwykłą sobie wymową przemawiał, iż nie znając dzieła, jakoż je potępiać. Nakoniec książę Stanisław Poniatowski, otrzymawszy głos w tej wrzawie, mówił mocno

i długo za projektem. Nie dano mu skończyć. Powstał głos i krzyk: «Niema, niema zgody!.. uchylamy na zawsze ten projekt i t. d.» Jakoż w tym duchu zapadła konstytucya. Na to wszystko z boku patrząc, rozczuliłem się nie nad losem Zamojskiego, ale nad losem nieszczęśliwego kraju, który z od wiecznej anarchii wyjść nie chciał.

ROZDZIAŁ VII.

Rok 1794.

Upokorzony naród drugim podziałem Polski, szukał już tylko męża, któryby mógł przewodzić w tak wielkiej sprawie. Na Tadeusza Kościuszkę padł wybór wszystkich. General ten, który pod chorągwiami nieśmiertelnego Waszyngtona walczył za obcą wolność, gdy za swoją już prawie ginąć nie mógł, miał powszechne w narodzie przywiązanie i ufność. Na niego się więc wszystkich oczy zwróciły aby w tak ważnej sprawie naczelnikiem, a raczej dyktatorem został obrany.

Ignacy Potocki, marszałek w. lit. i książdz Hugo Kollątaj, podkanclerzy koronny, którzy przed prześladowaniem za granicę się schronili i w Dreźnie pod opieką rządu nam przyjaznego osiedli, mieli powszechny w kraju szacunek przez swe obywatelstwo i obszerne światło, które szcze-

gólnie na sejmie konstytucyjnym okazali; im więc miały być poruczone interesa cywilne, pod wszechwładnem naczelnictwem Kościuszki. Jakoż od nich wychodziły pierwsze myśli i nadzieje obrony ojczyzny. Znosili się w kraju i za granicą z dobrze myślącymi, wysyłali w różne strony cnotą i światłem znakomitych, aby wyrozumiewać i zagrzewać ducha.

Powszechnie rozeszło się hasło do powstania. Kraków stał się jego stolicą. Tam wezwany stanął Kościuszko, tam to dzieło zawiązane zostało. Pióru historyka jego opis zostawiam, ja tylko wspomnę na co patrzałem i jak zaraz na początku do obrony powszechnej wszedłem.

Jeszcze powstanie krakowskie nie było wiadome, gdy generał Madaliński nie chcąc pozwolić zwinąć wojska, którem dowodził, porwał się do oręża, hasło do boju wydał i przez liczne i pruskie zastępy do Krakowa przerznął się. Wkrótce po takim generała Madalińskiego ruchu, ciche po Warszawie zaczęły się rozchodzić szeptki, że już Kościuszko stanął w Krakowie, że już 24 marca akt powstania narodowego dokonany został.

Co do mnie już do wszystkiego przygotowany byłem i gdym się z wysłanym z Drezna generałem Zajączkowskim w Trębaczewie, u pani Kochanowskiej zobaczył, sprawą ojczyzny cały zajęty zostałem.

Przejęty bojaźnią z doświadczenia konfederacyi barskiej, mawiałem do sławnego prezydenta Warszawy Zakrzewskiego, obywatela całkiem ojczyźnie oddanego i do generała Zajączka na naszych potajemnych obradach, iż mamy projekt do rewolucyi, ale gdzież środki do jej utrzymania? Z tem wszystkiem, gdy już nie nadto cośmy tracili, do utracenia nie mamy, puśćmy się w zawody szlachetnej rozpaczki, oddajmy się nieprzyjaznym losom.

Zginieć — to przynajmniej nie przeżyję ojczyzny! Tak myśleliśmy wszyscy, co nas jeden duch wiązał, pod bokiem posła rosyjskiego, otoczonego kilku tysiącami bitnego wojska, w pośródu wielu Rosyi zaprzędanych Polaków. Król przerażony przykładem Ludwika XVI., nie ufając narodowi, także miał swych szpiegów.

Pomimo tego wszystkiego, było nas sto osób do tajemnych układów, względem powstania narodowego należących. Miewaliśmy częste schadzki a przecieź dziwnem zdarzeniem w tak licznem i tak różnego rodzaju zgromadzeniu, tajemnica nie została odkrytą. Z miasta najbardziej przewodził ludowi Kiliński, szewc z profesyi i inni różnych cechów obywatele.

Szczególnie celował między ludem miejskim patron Wolfers, człek pełen talentów. Na czele przecieź wszystkich działań w Warszawie, był sławny prezydent miasta Zakrzewski, który po

przyjęciu praw miejskich na mocy sejmu konstytucyjnego bez nadwreżenia szlachectwa urząd ten piastował i order polski od króla otrzymał.

Wojskowi niemal wszyscy byli za sprawą ojczyzny, ci, którym powierzony był sekret, dochowali go święcie i mężnie przy rozpoczęciu dzieła stanęli. Nie do mnie należy wyliczać ich wszystkich, wspomnę tylko szanownego pułkownika Erazma Mycielskiego, z rejmentu Działyńskiego, którego szczególna przyjaźń i jeden duch ze mną łączył.

Ten młody wojownik spełnił dojrzałego patrioty i walecznego żołnierza powinności.

Będąc jak wyżej wspomniałem komisarzem bankowym, miałem w mym departamencie masę Tepera, który znaczne miliony był winien Rosyi. Igelström dowiedziawszy się, iż do miliona blisko miałem zebranych kapitałów z tej masy, podał notę komisji rozkazującą, ażeby ta suma była mu wydana na dług cesarzowej.

Stanąłem na sesyi w opozycji przedstawiając, iż już na sejmie grodzieńskim poseł Sievers kapitałem cesarzowej winnym, zapewnił opłatę na najpewniejszych funduszach Tepera u księcia Radziwiłła będących. Moja opozycja wstrzymała żadaną rezolucję posła i przedstawienie moje na piśmie komunikowanem mu zostało.

Ta Jakobina z mej strony krnąbrność (jak ją nazywał poseł), rozjątrzyła jego umysł, który

nie był przyuczony znajdować odpór w podanych rządowi polskiemu żądaniach. Pan marszałek nadworny Raczyński, a prezes komisji w tym stanie rzeczy zachorował, cała komisja zamilkła i mnie się osobiście tłómaczyć ambasadorowi zaleciła.

Niecierpliwym aby mnie widzieć, przysłał do mnie pabia swego Gołuchowskiego d. 15 kwietnia, abym się do niego stawił. Struchlała na to moja familia, będąca podówczas ze mną w Warszawie; szedłem jednak do niego z spokojnym umysłem. Znalazłem dom jego cały i przedpokoje obsadzone wartami, które mnie po ścisłem zameldowaniu do oblicza Igelströma przypuścili. Z pierwszego rzutu oka zaraz odezwał się do mnie, czy to ja jestem, który nie chciałem wydać kapitałów zebranych z masy Teppera, na dług W. Katarzyny. Odpowiedziałem w tonie wolnego człowieka śmiało, iż ja byłem stróżem masy długów Tepperowskich, bo mnie do tego przeznaczono i że nie jestem tak ciemny, abym dług najjaśniejszej imperatrowej zaprzeczał, który się jej z masy Teppera należy; jeżeli zaś przedstawiłem komisji, że sumy teraz zebrane wpłynąć do skarbu cesarzowej nie mogą, to na fundamencie układów J. W. Sieversa, posła z wierzycielami Tepperowskimi w Grodnie uczynionych.

Wrzasnął na to: Co to za układy? Odpowie-

działem: Przekazanie długów Teppera, na skarb Najjaśń. imperatorowej u księcia Radziwilla. Nie dał mi skończyć, rzucał się, krzycząc, iż wie kto ja jestem, iż jestem pierwszy rewolucjonista, iż śmiem się opierać żądaniom imperatorowej i t. d. Zapał, w którym mówił, nie dał mi go rozumieć; rozumiałem tylko, gdy kończąc powtarzał, że mnie z komisji wyrzuci i sprawiedliwość sobie ze mną wymierzy.

Wypadało mi dla dobra biednych wierzycieli Teppera i pokoju mej familii, wreszcie dla dobra kraju, któremu chciałem służyć, znieść furię i gdyby można, uwieść tego polityka. W przybranej zatem odpowiedziałem mu pokorze, aby mi dwa dni przynajmniej zostawił czasu, do rozmówienia się w tej mierze z kuratorami masy Tepperowskiej, że ich może skłonię do oddania zabranych kapitałów J. W. ambasadorowi. Udobruchał się na to zapaleniec i mnie wolnego do domu puścił; bo nie wiedział, że za dwa dni to jest 18 kwietnia wybuchnąć miała rewolucya w Warszawie.

Oswobodzony w ten sposób, z podziwieniem wszystkich, czempredzej zwołałem kuratorów masy i niektórych wierzycieli i przelożywszy zagrożenie ambasadora, podałem projekt podzielenia kapitału pomiędzy najpotrzebniejszych wierzycieli Teppera, a którzyby sekretu nie wydali. Pracowałem noc całą nad tym rozkładem

i stosownie do niego potajemnie wezwani wierzyciele zostali dnia 16 kwietnia wypłaceni tak, iż ani grosz w kasie nie został. Był to jeden z najszcześniejszych momentów w mojem życiu, gdym ich widział rozczulonych z wdzięczności; ofiarowali mi kuratorowie 20.000 zł. p. za tę opiekę, ale mnie tem obrazili. Spieszyłem się z rozdzieleniem tych pieniędzy, nie dla samego zagrożenia ambasadora, przewidywałem bowiem zamieszanie towarzyszące każdej rewolucyi; czas sprawdził moje domysły, bo inne masy np. Szulca, Kobrego i t. d. poszły na łup i grabież gminu rewolucyi.

Dnia 16 kwietnia komisarz poselstwa rosyjskiego Józefowicz, komisarz także bankowy, ze mną kolegujący, dorozumiał się mego obrotu, zaczął konfidencyjnie mnie badać i okropną zemstą ambasadora zagrażać. Odpowiedziałem, iż dnia 17 t. m. sam się z ambasadorem rozmówię. Tu poznałem, jak jeszcze niewiadome były całej ambasadzie nasze tajemne układy.

O godzinie 4-tej z rana dnia 17 kwietnia powstała w Warszawie insurekcya. Nie miała ona charakteru ani niesporów sycylijskich, ani rzezi św. Bartłomieja, gdzie uknuta napaść śpiącym i zupełnie bezbronnym odbierała życie. Wystrzał armat, dzwony i bębny budziły nieprzyjaciela, aby wstawał do otwartego boju. Było wojska rosyjskiego przeszło 6000, polskiego garnizonu

ledwo 2000. Godzin trzydzieści i sześć trwała krwawa walka; rynki ulice i domy były placem boju...

Dnia 19 ogłoszony został w Warszawie akt powstania, łącząc się z powstaniem krakowskiem i uznając za naczelnika Kościuszkę. Tymczasem, żeby bez rządu kraj nie został, zebrani obywatele na ratuszu uznali potrzebę rady tymczasowej czyli rady zastępczej, do której i ja jednomyślnie jako radca wybrany zostałem. Odtąd mieszkaniem mojem dziennem i nocnem został ratusz, gdzie wspólnie z JW. Zakrzewskim, prezesem i Michałem Wolferssem, radcą, wszelkie organizacje układaliśmy i pisma publiczne, które okoliczności ogłaszać radziły, z pod naszego wychodziły pióra.

Wkrótce rada zastępcza podzieliła się na cztery departamenta; ja wszedłem do wojskowego pod prezesostwem szanownego generała Mokronowskiego. Gorliwość i pracowitość zastępowały u mnie miejsce talentów wojskowych. Najważniejszą przysługę, którą w tem urzędowaniu przyniosłem krajowi, było ocalenie brygadyera Dąbrowskiego, później tak sławnego generała.

Trzeba wiedzieć iż sejm konstytucyjny, chcąc podźwignąć naród, czułość talentów wojskowych w kraju, starał się ściągnąć z zagranicy rodaków, w obcej służbie zostających. Z tej liczby był Dąbrowski, który w wojsku saskiem w gwar-

dy królewskiej wielce się dystyngował, a talenta jego wzbudziły, jak zwykle, zazdrość, a subordynacya, którą wprowadził, narobiła mu nienawiści. Madaliński, pod którego był komendą, nazywał go Niemcem, a gdy rewolucya była ułożona, o niej Dąbrowskiemu nie powiedział i wymaszerowawszy na rozpoczęcie insurekcyi, jak się wyżej powiedziało, Dąbrowskiego zostawił w garnizonie i w niespokojności i w złej opinii.

Ale Dąbrowski umiał sobie poradzić w tem. Uwiadomiony o powstaniu krakowskim i o rewolucyi warszawskiej, ruszył z szczątkiem żołnierza śledzić nieprzyjaciela i 21 kwietnia zabrał Rosyanom pod Tykocinem sześć wozów z bagażami, 1 oficera i 25 żołnierzy, ale o tem nie meldował Starzeńskiemu, staroście brańskiemu, który chciał przewodzić w Podlaskiem.

Z tego powodu nie wiem, jak mu się dał zabrać Dąbrowski, którego on do rady oskarżył jako nieprzyjaznego powstaniu, a oficerów Duchyńskiego i Więckowskiego prawie nieledwo w łańcuszkach przyprowadził. Ta scena gorsząca przez jakąś nienawiść Starzeńskiego wymyślona, stała się 30 kwietnia. Dąbrowski oddany został pod sąd departamentu wojskowego. Lud uprzedzony otaczał go z nienawiścią, jak zwykle w rewolucyi, do której gmin ciemny się miesza, dość, aby jeden zaślepiony krzyknął zdrada! już tłuszcza wyrok śmierci pisze. Skoro

Dąbrowski stanął w naszym departamencie, przemówił śmiało do tłumu, że chcąc pokonać nieprzyjaciela, trzeba nam szanować wojskowych, że na jednostronne zaskarżenie nie można oficera z charakterem potępić. Niech pan Starzeński złoży skargi dowody, a jutro wyda departament wyrok sprawiedliwy.

Spoglądał na mnie z podziwieniem Dąbrowski, bośmy się jeszcze nie znali; a iż Mokronowski zalecił mu, aby się na dzień jutrzejszy w departamencie stawił; całą noc zaprzątnąłem się szczerze tą sprawą i znalazłszy ją jak najlepszą na stronę Dąbrowskiego, wygotowałem rezolucyą, która go niewinnym i wielce użytecznym do służby krajowej ogłosiła. Stanęli do słuchania wyroku Starzeński i Dąbrowski i gmin, co go otaczał.

Z powagą i godnością ogłosiłem zdanie departamentu wojskowego ocalając honor i obywatelstwo Dąbrowskiemu. Zamilkł Starzeński i gmin uwiedziony, o niewinności przekonał się oskarżonego. Tak szczęśliwym zdarzeniem przyłożyłem się do uratowania męża, który tylu pomyślności dla sławy i dobra kraju stał się z czasem początkiem i któremu już w tej rewolucyi chlubne dzieła przyzna historia ¹⁾.

¹⁾ W niewydanych pamiętnikach Michała Starzeńskiego (w t. II) znajduje się parę ustępów, mających na

Tu wracając do rzeczy wyznać muszę, iż dni pierwsze naszego powstania były dniami chluby i sławy. Ale dni tak świetne wkrótce czarny miał okryć pomrok. W każdym dziele, do którego tłuszcza ciemna wchodzi, zawiązuje się zaraz w jego poczęciu burzliwych zamieszkań, łupieztw i okrucieństw brzemień. Pierwszy śmiały intrygant uwiodłszy ciemne pospólstwo, przeistacza dzieło narodowe w dzieło swych namiętności i prywatnych korzyści, a postępuje do swoich zamiarów drogą zaburzeń i śmierci! Kto u nas był naczelnikiem tych dzieł sromotnych i krwawych, sumiennie powiedzieć nie mogę; ale to pewna, że pierwszym ohydny utajonego tego herszta narzędziem, był niejaki Konopka, człek młody, podobno rodem z Poznania, wreszcie bez znaczenia, kopista w kancelaryi ks. Kollątaja, podkanclerza koronnego.

Ten, skoro się zawiązała rewolucya w Warszawie, z natchnienia zapewne jakiego Robespiera, stanął na czele pijanego gminu, zachęcał, podburzał do mordów, łupieztw i anarchii. Dzień 9 maja był dniem dla nas skazy. Dzień 8 już był czarną jego wróżbą; rzucono bowiem w nim fałszywą trwogę o zbliżeniu napowrót Rosyan

celu usprawiedliwienie oskarżycielskiej roli pamiętnikarza, który jednakowoż w relacjach swych nie jest zupełnie ścisłym i bezstronnym. (H. M).

i Prusaków pod Warszawę, którym na rzeź rząd miał przeznaczyć pospólstwo. Do tego przyczyniło się jeszcze, że król wyjechał przypadkiem na spacer za Pragę. Konopka ze swymi sprzymierzeńcami rozpajał lud po szynkowniach i krzyczał na gwałt, że król ucieka z Warszawy. Zaczęto się kupić i uzbrajać, a raczej wściekać i krwi łaknąć; ja się przytem znalazłem w największym niebezpieczeństwie życia. Właśnie byłem tego dnia na Pradze, uzbrając to przedmieście, będąc, jak powiedziałem w departamencie wojskowym. Przestrzeżony poruszeniem Warszawy, że król Jego Mość wyjechał za Pragę, posłałem za nim mego kolegę Ciemnowskiego z prośbą, aby się wrócił do uspokojenia ludu.

Kolega mój zastał już wracającego króla do zamku. Myślałem, że się tem wzburzone pospólstwo uśmierzy i ukończywszy moją pracę wracam do miasta, ale zastałem zapchaną całą ulicę od mostu tłumem opalców w różną broń opatrzonych. Ten z karabinem, ów z pistoletem, inny z dobytym pałaszem, otaczają mnie spienieni, krzyząc, iż rada lud zdradza, iż Rosyanie i Prusacy są już pod rogatekami wolskimi.

Stałem śmiało, zacząłem im wyrzucać, jak są łatwowierni, że ich do rogatek poprowadzę i dowiodę, iż rzeczoney postrach jest dziełem ducha starającego się ich burzyć i wojnę domową

sprowadzić. Trafiła do ich przekonania ta moja przemowa i nawet niektórzy z nich zaczęli wołać: Wierzymy mu, on nas nie zdradzi! Ale gdy w takiej eskorcie stanąłem na Krakowskiem przedmieściu niedaleko Zygmunta, wrzasnął ktoś mi nieprzyjazny: Wybicki chciał króla wyprowadzić! wszczął się tumult, i mnóstwo, co nawet nazwiska mego nie znało, rozniosło echo: Wybicki jest zdrajca!

Ten moment dał mi już gwałtownie poznać, co to jest gmin, w którego masie ów głęboko myślący Rousseau złożył moc najwyższą rządową. Z pogardą patrzyłem na moich panów, a nie chcąc stać się ich pastwą, jak wściekłego zwierza, zsiadłem z konia i zdjąwszy z lewej ręki krepę ponsową, którą radcy dla dystynkcyi nosili, starałem się przedrzeć do pałacu pani Krakowskiej, gdzie generał Mokronowski mieszkał. Lecz słyszę szum nowej na mnie burzy. Wrzeszczą: Wybicki był dziś z powinszowaniem u króla!

W rzeczy samej Kościuszko chcąc zabezpieczyć osobę króla, aby jak Ludwik XVI nie padł ofiarą, zalecił radzie zastępczej wszelkie dla niego uszanowanie; stąd wypadło, aby w dzień św. Stanisława, jako w dzień jego imienin zwyczajne mu złożyć powinszowanie.

Gdy mnie więc rada do jego komplementu wybrała, wystawiałem jej, że mnie w oczach ludu

już rozhukanego na kryminalistę wystawia. Nie mogąc się przecież wymówić żądałem, aby mi kolegę dano ze stanu miejskiego. Przydano mi Wolfersa.

Król dowiedziawszy się, iż jakaś delegacya od rady do niego została wysłaną, począł się trwożyć tak, że całą rodzinę zastałem przy nim zgromadzoną w gabinecie. Powiedziałem do niego między innymi oświadczeniami następujące słowa: Odbierałeś królu! w dzień twego święta zwykle od Polaków powinszowania, ale pozwól powiedzieć, iż dziś po raz pierwszy idą te życzenia z ust wolnego Polaka i t. d.

Taka była historia bytności mojej u króla, ale gmin, co ani myśli, ani rozumie, tylko za pierwszym popędem swych namiętności idzie, gmin, co Arystyda i Sokratesa na śmierć osądził, gmin, co od wszystkich wieków i we wszystkich krajach jest do siebie podobien, mnieby był może najniewinniejszego na haniebną śmierć skazał i samby był moim katem, gdybym się przecie do domu generała Mokronowskiego nie był przedarł. Mąż ten szanowny cały w rozpacz na mój widok westchnął i wyrzekł: Oto pierwsza scena krwawej rewolucyi francuskiej. W pierwszym zapale chciał kupy rozpędzić. Kazał szukać do rady prezydenta Zakrzewskiego, ale go nie znaleziono. Tymczasem oficerowie najlepiej myślący przekładać zaczęli prezydentowi,

że w tym razie za subordynację żołnierza rzeczy nie mogą, którego konspiracyści starali się namówić do swej sprawy przekupstwem, pijactwem i fałszywymi widokami wolności. Zostałem generała z oficerami naradzającego się, a sam pokryjomu dostałem się do prezydenta Zakrzewskiego. Był to jeden z najnotliwszych ludzi i najgorliwszych obywateli, ale nie był do steru łodzi w gwałtownej burzy.

Skoro mnie spotrzegł, zawołał: Nic mi nie powiadaj, wiem wszystko, boję się, żeby nie było gorzej. Zaradzić więc temu trzeba, odpowiadam. Prezydent załamywał tylko ręce. Odszedłem go nieukontentowany i ledwo zaszedłem na rynek starego miasta, naprzeciw ratusza do mojej stancyi, bo tam się z pałacu Zamojskiego przeniosłem, a żona z dziećmi była w zamku u pani generalowej Gorzeńskiej. Zastalem u siebie niektórych kolegów troskliwych o mnie, z którymi zarówno bolałem na tak zły początek naszego dzieła. Nikt z nas przecie nie przewidywał okropnej sceny, którą nam dzień dziewiąty maja miał objawić. Aż tu przy wschodzie słońca zobaczyliśmy na rynku trzy wystawione szubienice, z których jedna w samych drzwiach ratusza, gdzieśmy na obrady wchodzili, wystawioną była; czwartą wkopano przed kościołem Bernardynów na Krakowskim przedmieściu. Ledwom to spostrzegł, odebrałem list od prezy-

denta, aby się nagle zgromadzić na radę. Wielu nie przybyło; przytomni uradziliśmy, aby wezwać pomocy wojskowej i szubienice obalić, jako bez woli, a raczej z pogardą rządu wystawione. Lecz gdy na tem spieramy się, już kilka tysięcy gminu uzbrojonego cały zamek zaległo, już przychodzą raporta, że całe miasto w poruszeniu, wkrótce, że aresztowanych hetmana Ożarowskiego, Ankwicza, prezesa rady nieustającej i ks. Kossakowskiego biskupa inflantskiego, gmin na ratusz prowadzi, Konopka, trybunę sobie zrobiwszy z okseftu naprzeciw ratusza, do odurzonego ludu ziewa mordy i pożogi. Ojczyzna — krzyczy zapieniony — chce kary na swych zdrajców i t. d.; w tem i on i druga poczwara niejaki ks. Majer, z podobnymi sobie z gołymi pałaszami, nabitymi pistolety szturmują drzwi naszej izby, którą gdy przymuszeni byliśmy otworzyć, jak wylew jaki spieniony nas zatopił. Powiem bez chluby, iż ja i szanowny Wolfers (co mu później śmierć przyniosło) stanęliśmy z odwagą naprzeciw tłokowi. Wystawiliśmy wżgardzoną powagę rządu, który sam lud wybrał; powiedzieliśmy: że my chyba pierwsi padniemy ofiarą, niż na bezprawne zabójstwo kogokolwiek pozwolimy. Powstała nareszcie cała rada, iż przyprowadzeni aresztanci mogą być śmierci godni, ale należy, aby ich sąd kryminalny sądził i na nią, jeżeli zasłużyli, skazał.

Niepojęta wzniosła się wrzawa: Ożarowski, Ankiewicz, Kossakowski są zdrajcami, trzeba ich wieszać i t. d. Rząd nie odpowiada ufności ludu! My na to: A więc składamy urząd, ale dopóki na nim będziemy, nie dopuścimy tego krwiożerczego barbarzyństwa i t. d. Któż tę scenę opisz! Zdziwione herszty naszą rezolucją pozwolili na sąd. W momencie naprzeciw naszej izby sąd kryminalny się zgromadził i aresztowanych na śmierć skazał.

Tak utrzymaliśmy przynajmniej powagę naszą. Byli oni, jako przekonani o zdradę ojczyzny, śmierci godni; ale chodziło o to, aby sąd ten wyrok wydał. Zakończyła się ta pierwsza scena z ocaloną nieco powagą rządu; przegladaliśmy przecie, że nie ukończyła się wściekłość partyi, gmin burzyć w zamiarze mającej i że wkrótce najpiękniej zaczęta rewolucya nasza, w zamiarze najświętszym zawiązana weźmie postać barbarzyńskiej rzezi i nadludzkiej zgrozy jaką siebie zhańbiła rewolucya francuska, gdy z rąk czysto obywatelskich do drapieżnych przeszła demagogów.

General Mokronowski wybierał się do obozu, powiedziawszy w radzie, że woli raczej ginąć z orężem w ręku na nieprzyjaciela, niż czekać haniebnej śmierci w Warszawie. Żądał bez tego Kościuszko, aby Mokronowski wyruszył w pole; a gdy i ja toż samo oświadczyłem co Mokra-

nowski, odezwał się tenże, aby mu rada raczyła mnie przydać za pełnomocnika rządowego w obozie. Po wielu trudnościach, szczególnie ze strony prezesa, odebrałem pełnomocnictwo żądane i już odtąd aż do końca rewolucyi znany byłem pod nazwiskiem pełnomocnika rządowego, ukończywszy uporządkowanie cyrkulów i t. d., wyjechałem z generałem Mokronowskim.

ROZDZIAŁ VIII.

Autor do obozu się przenosi.

Z takich wypadków nową zacząłem kolej życia. Urzędnik cywilno-wojskowy, wybrałem się z największą ochotą do obozu z Mokronowskim, w którego talentach zupełne miałem zaufanie, a w sercu jego, jako prawdziwy przyjaciel umieszczony byłem. Wspólne nas łączyło zdanie, wspólny sposób myślenia. Należałem do wszelkiej wojskowej rady, bom o wszystkim z urzędu musiał donosić radzie i o wypadkach wojennych czynić raporta szczególnym było pełnomocnika obowiązkiem. Najtrudniejszą częścią mego urzędu było opatrywanie w wszelkie potrzeby, a szczególnie w żywność wojska, przy którym byłem. Wymaszerował generał Mokronowski pod Blonie i zostawiwszy komendę brygadyerowi Dąbrowskiemu, którego do siebie był przybrał, pojechał ze mną do Warki, dla odebrania tam dalszych rozkazów naczelnika.

Tu mi wspomnieć wypada, jak nas względem Kościuszki dzieliła opinia. Ja cały zajęty jego wielkością aż do zapału, nie widziałem w nim jak tylko Cyncynata, Fabiusza. Nigdy, mówilem, nie pokładał Rzym większej ufności w swych zbawcach, jak cała Polska w Kościuszcze. Każdy, co Polak, pójdzie na jego hasło; każdy składać będzie ofiary na jego zawołanie. Wsławiony w kraju i w Ameryce żołnierz, będzie umiał siłą zbrojną władać; znany z skromności obyczajów, cnót obywatelskich, dary na ołtarzu Ojczyzny złożone, ku jej tylko powstaniu poświęci. Częstokroć aż do niecierpliwości przerywał mi Mokronowski. Nie zaprzeczał Kościuszcze gorliwości, patriotyzmu, odwagi, nawet biegłości w sztuce wojennej ale nie spostrzegął w nim dość tęgości charakteru, tego obszernego światła, jakim tak wysoki urząd jaśnieć powinien. Przytaczał mi przykłady długiej nieczynności po bitwie raclawickiej, po której był moment zapalić wszelkie umysły, zgromadzić siły, roznieść trwogę powszechną na hufiec nieprzyjaciela; a ten moment został opuszczony. Niewiedomość polityki i sił nieprzyjaciela aż do tego stopnia posunięte były, że naczelnik dopiero na placu bitwy pod Szczekocinami się dowiedział, że wojsko pruskie, połączone z rosyjskiem przeciw nam działało! Zasmucały mnie te spory, które zwykle do doświadczenia odroczone bywały.

List od naczelnika doszedł w Warszawie generała Mokronowskiego, ruszyliśmy więc zaraz do niego do obozu, gdzie go po raz pierwszy z bliska poznałem i z nim mówiłem. Przyznam się, iż przystępowałem do niego z pełnem uszanowaniem uczuciem. Skromność jego i małowerność nie zachwiały go w mojej opinii. Wystawiłem sobie w jednym momencie tę prawdę, że te własności zwykle wielkim ludziom towarzyszą. Widziałem, że bardzo czule przyjmował moje oświadczenia i w krótkich wyrazach potwierdził mój wybór na plenipotentą, do czego przydał słów kilka, iż potyczka pod Szczekocinami 6 czerwca nie mogła wypaść dla nas szczęśliwie, gdyż Rosyan w niej było 12.000, a Prusaków 15.000, pod dowództwem samego króla pruskiego. Dalej zatrudnił się organizowaniem kawaleryi aż do wieczery, na którą zaproszony, znalazłem ją prawdziwie spartańską z różnicą, że co tam czarna breja, u Kościuszki hołodec litewski pierwsze miał miejsce; zresztą odzież jego Krakowiaka i materac z jedną poduszką w stodole, oznaczył tylko prawdziwego żołnierza, bez zbytku i okazałości dyktatora.

W obozie panował duch powolności i uszanowania dla naczelnika, lubo niektórzy krytykując jego po cichu urządzenia wojenne, powiadali mi, że gdyby król pruski był osadził Pilićę, nigdyby Kościuszek z Warszawą złączyć

się nie mógł i bylibyśmy wszyscy od stolicy odcięci. Ale to należy do historyi. Ja po odebranych rozkazach, wróciłem z generałem Mokronowskim pod Byszów, stamtąd pod Błonie. General Mokronowski był ciekawy, czym nie odmienił opinii o naczelniku. Odpowiedziałem, iż zawsze go szanuję, dopóki mu naród nie odmówi zaufania. Że on o losie ojczyzny nie rozpacza i szczerze się do jej obrony bierze, wypada z naszej strony wspierać jego słabość radą i męstwem.

W tym czasie Dąbrowski, śledząc nieprzyjaciela aż ku Łowiczowi, dał się coraz bardziej poznać. Pozwolono mu rekrutować lekką kawalerję, którą on mazurami nazywał. Prusacy wpadli w okolicę Warszawy, przeciw którym wysłany był generał Sierakowski. Dnia 23 czerwca poseł pruski Buchholtz, opuścił Warszawę. Widział się z nim pod Błoniem Dąbrowski, z którym dnia 26 czerwca złączył się Mokronowski.

W tym stanie rzeczy książe Józef Poniatowski, mąż pelen charakteru i honoru, dobry Polak, który jako wódz naczelny wojsk naszych roku 1792 przeciw Rosyi przez matkobójcze plemię konfederatów targowickich prowadzonej, walczył z męstwem i sławą i gdy król do konfederacyi targowickiej przystąpił, służbę i wszystko porzucił; przecież, że był Poniatowski i synowiec króla, miał na sobie grzech pierworodny

urodzenia i stąd nieufność ludu. Cierpiał na ten ten mąż bez skazy i podał żądania swoje Kościuszcze, który w roku 1792 był pod jego dowództwem, iż w tak chlubnej dla Polaka epoce, chce przynajmniej wstąpić jako wolontaryusz w szeregi ojczyste. Długo nad tem rozmyślano, aż naczelnik za radą roztropnych pozwolił mu znajdować się przy dywizyi Mokronowskiego. Przybył więc do nas pod Błonie dnia 26 czerwca i lubo jako wolontaryusz odbierał szacunek, jaki się jego talentom, szlachetności i randze dawniej należał.

W tym czasie widzieliśmy, że nieprzyjaciel wszystkie swe siły ku Warszawie zgromadzał i tam zwolna swe kroki kierował. Naczelnik zawsze się nad Pilicą trzymał, Mokronowski w Błoniu stolicę zasłaniał. Lecz kiedy Polak, żołnierz z nieustraszonem męstwem pierś swą z granitu przeciw wrogom nadstawiał, krwawa tłuszcza warszawska, haniebnych mordów na swych braci, knuła spisek. Długo z niecierpliwością oczekiwana rada główna czyli najwyższa, ciągniona przez obywateli, jak gdyby w zwycięskich rydwanach weszła do Warszawy. Ona z planu powstania krakowskiego, miała być mocą wykonawczą i najpierwszą podporą rządu rewolucyjnego, stojącego pod władzą naczelnika. Czyli ona odpowiedziała nadziejom i potrzebie narodu... Zaczęto spostrzegać słabość naczelnika

i nadto zbytnią ufność jego w podkanclerzym Kollątaję, którego powszechnie Robespierem nazywała. Ale wiadomość dziejów świata z dawna mnie nauczyła, że opinia ludu nie zawsze jest dowodem prawdy. Jakkolwiek bądź co tylko wspomnę, iż dzień 28 czerwca rzucił plamę na odwieczną czystość naszego narodowego charakteru. Wieszająco pospólstwo w tym dniu, bodajby na zawsze z biegu czasów wymazanym, bez procesu i dowodów. Cnotliwy prezydent Zakrzewski, rzucił się na ciało referendarza Moszyńskiego, już na ofiarę mordu skazanego. Byłbym to sam uczynił, będąc przytomnym w Warszawie, aby ocalić mego szanownego kolegę Wolfersa, którego wspomnienie zawsze mnie rozczuła i stratę dla kraju w jego osobie wystawia. Ta zgroza doszła nas w obozie i wszystkich dobrze myślących, grubą okryła żalobą.

Tymczasem Prusacy atakowali nas 7 lipca pod Błoniem i 10 bez wszelkiego planu rejterowaliśmy pod Marymont, dokąd z pod Gastkowa zbliżył się generał Zajączek, a za nim naczelnik. Ja byłem ciągle przy wojsku w obozie pod Marymontem, ale nie zaprzeczam, iż z tego com widział, nadzieje me zgasły. Kościuszko założył swą główną kwaterę w Mokotowie i Dąbrowskiego, który już był został generał-majorem, do siebie 28 lipca pod Czarników wezwał. Odpowiedział on zaufaniu naczelnika i Rosyan od Siekierk

i Augustowa odparł. General Mokronowski w Marymoncie pozostał i ja przy nim, jako pełnomocnik, nie widząc Warszawy po ostatniej rzezi. Książę Józef Poniatowski już był wszedł w służbę i razem z Mokronowskim działał.

Byliśmy w oblężeniu przez liczne wojska pruskie i rosyjskie, a że w Litwie niepomyślnie nam szło, umyślił naczelnik wysłać tam Mokronowskiego; jakoż 6 sierpnia wyjechał tam dla objęcia komendy najwyższej, a książę Józef na jego miejsce odebrał komendę nad dywizją stojącą pod Marymontem, przy którym również jako pełnomocnik zostałem.

Przekładałem obóz nad miasto, w którym coraz większe mnożyły się intrygi, nieporozumienia, nieufności. Naczelnik był coraz bardziej oskarżany o słabość, książdz Kollątaj o dumę i chęć panowania.

Zaczęło nam brakować na żywności; dalecy przecież byliśmy od głodu, bo Rosyanie i Prusacy, którzy Warszawę oblęgli, niepojętym jakimś wypadkiem zostawili nam wolny otwór od Pragi, tak, iż z za Wisły podsycani byliśmy żywnością. Prezydent Zakrzewski dawał w tym stanie rzeczy dowody najgorliwszej czynności i obywatelstwa, niósł ciągle ofiary z dóbr swoich zawiślańskich ¹⁾.

¹⁾ Ostatnie rzeczy pod Warszawą w chwili zbliżania się armii oblężniczej donosi Wybicki z obozu Mokronow

Tymczasem Prusacy od Woli, Rosyanie ze strony Mokotowa nie przestawali czynić przygotowań do zdobycia Warszawy. Ustawiczne następowały wycieczki, aż też 26 sierpnia o północy król pruski z wielką amunicją zbliżał się od Woli do Rogatek. Stał na swoim miejscu książę Poniatowski, przy którym byłem nieodstępny.

Sypały się naówczas kule i bomby, każdy się szturmowi spodziewał. Przecież wkrótce przekonaliśmy się, iż z tej strony fałszywy był atak; prawdziwego swego zamiaru dopiął nieprzyjaciel, gdy nade dniem opanował góry zwane szwedzkie, po lewej stronie Woli naprzeciw Marymontu. Na pierwszy w tamtej stronie wystrzał pobiegł książę Józef, ale nim do tych gór dojechalibyśmy, już z nich spędzone były poczy nasze. Naprożno chciał książę je odzyskać, nasze wojska wycierpiały wiele, postępując naprzód, aż też wreszcie rejterada powszechna ku okopom warszawskim nastąpiła. Książę Poniatowski

skiego do prezesury potrzeb wojskowych, dn. 1 lipca 1794 r.:
»...powiększa się komenda różnymi korpusami; wszystkie waleczne, ale nagie... magazyn żywności i amunicja w kieszeni«... Jednak choć brak najkonieczniejszych materiałów wojennych »...od najmniejszego żołnierza każdy prosi, aby maszerować. Zapał jest największy... Chyba po trupach nieprzyjaciela z tej strony Warszawy dojdzie«...

P. Korzon, »Wewnętrzne dzieje« VI, 168—70. (H. M.).

lekką otrzymawszy kontuzję, pełen rozpaczy wrócił do miasta. Oburzyły się na niego umysły wszystkich. Jedni wołali: zdrada! drudzy posądzali go o nieprzytomność w obozie. Tu z obowiązku mego urzędu obszerne na piśmie złożyłem w najwyższej radzie dowody, iż księżę na pierwszy wystrzał z pod Woli znalazł się na czele wojska i że obok niego w ciągłym stałem ogniu. Raport mój nie mógł być podejrzanym, ale niechęci przeciw księciu nie przytłumił. Zarzucano mu niepilność i nieczystość. Naczelnik w takim zamieszaniu lękając się, aby Prusacy nie wpadli do Marymontu, zdał czemprędzej 27 sierpnia zaraz na tym punkcie komendę generałowi Dąbrowskiemu.

Ile w tym dniu księżę Poniatowski stracił na opinii publicznej, tyle generał Dąbrowski zyskał. Taka jest nagła zmiana w losach ludzkich! Generał Dąbrowski objąwszy komendę zaraz nazajutrz założył kamień węgielny swej przyszłej sławy, gdy się mężnie stawiał Prusakom pod Powązkami i z podziwieniem wszystkich do rejterady zmusił. Naczelnik, który był w nagrodę cnoty i męstwa ustanowił złote obrączki z napisem: »Ojczyzna swemu obrońcy«, taką z numerem pierwszym Dąbrowskiemu przysłał.

Pamiętka chlubniejsza nad inne orderzy, które często intrzyga bez zasług odbiera. Co do mnie, ten los Dąbrowskiego zbliżył mnie, jako pełno-

mocnika do jego osoby i serca. Zachowaliśmy dla siebie na zawsze uczucia prawdziwej przyjaźni. Z tem wszystkiem Rosyanie i Prusacy nie przestawali w swych zamiarach zdobycia Warszawy. Kilkakrotnie wzywali nas do poddania się, kilkakrotnie zagrażali szturmem, gdy naczelnik, oddajemy mu sprawiedliwość, z pogardą odrzucał propozycye nieprzyjaciela.

Tu Kościuszko wolnego Polaka okazał serce i postawił się w równi z wszystkimi obrońcami sławnego niegdyś narodu. Ale mimo nasze męstwo dobyć było można stolicę z wielu powodów, gdyby na szczęście między Prusakiem i Rosyanami nie była się zawiązała zazdrość, po tej niezgoda. Chciał król pruski, gdyby można, bez pomocy rosyjskiej opanować Warszawę. Spostrzegli to Rosyanie i zapewne nie chcieli być narzędziem ambicyi obcej, nastąpiły stąd nieporozumienia wzajemne, zwolniały związki w działaniach i w ten sposób ocalała na teraz Warszawa.

W tej politycznej niezgodzie tlił się jeszcze w województwach wielkopolskich ogień miłości ojczyzny. Ten zapal, im mniej był spodziewanym, tem dotkliwiej przeraził. Na hasło powstania w Polsce opuścił król pruski granice Francyi, a pod Warszawą, gdy się o powstaniu wielkopolskiem dowiedział, czempredzej zapęd dalszego jej oblężenia porzucił.

W Poznańskim i Kaliskiem zaczęły się walki zwyczajne; w Kujawskim topiono amunicyę, prowadzone na Wiśle dla zdobycia Warszawy. Wszędzie pleć piękna urodzeniem i wychowaniem zaszczycona, dzielila twarde trudy i groźbę niebezpieczeństwa z walczącymi i do męstwa ich zapalała.

Taki niespodziewany zapal rozniósł powszechną trwozę, słabość stała się w oczach nieprzyjaciela olbrzymią potęgą. Naczelnik umiał cenić ten związek: przysłani do niego delegowani generał Niemojewski i pułkownik Moskorzewski, przyjęci byli na łono braci z rozczeniem, każdy przeglądał w tem obywatelskiem powstaniu skuteczną dywersyę i naczelnik już był wczesne w tym zamiarze uczynił kroki; teraz podwoił starania; tymczasem król pruski zatrwożony w pierwszych dniach września opuścił Warszawę.

W takowych zamieszaniach, nim jeszcze do smutnych przyszło ostateczności, starałem się moją żonę z małemi podóczas dziatkami do Zamościa przesłać, gdzie pan Owidzki, mój siostrzeniec, zarządzający ordynacyą Zamoyską, był zamieszkały.

Po tak nagłem i niespodzianem odstąpieniu króla pruskiego, nowe mnie czekało przeznaczenie. Naczelnik postanowił wysłać generała Dąbrowskiego na pomoc Wielkopolanom. Bądź

z przekonania, bądź z natchnienia prezydenta Zakrzewskiego, bądź wreszcie na żądanie samego Dąbrowskiego (nie wchodzę); naczelnik nominował mnie pełnomocnikiem rządowym przy korpusie do Wielkopolski przeznaczonym. Pomimo szczerej mojej niechęci, uległem nakoniec, jako dobremu Polakowi wypadalo, woli naczelnika i instrument pełnomocnika z obszerną mocą i bardzo dla mnie pochlebną przyjąłem. Oddał mi Kościuszko do mego szafunku wielką ilość obrączek: »Ojczyzna swemu obrońcy!« zobowiązał szczególnie do rozszerzenia ducha obywatelskiego i utrzymania ducha jedności między Madalińskim i Dąbrowskim. Umrę z tem przekonaniem, że w niczem ufności jego nie zdradziłem.

Dnia 9 września otrzymał Dąbrowski ordynans, a 10 ruszył z Warszawy pod Kamionkę, gdzie miał przejść Bzurę, siła jego cała (jak przykro wspomnieć!) przeciw potędze pruskiej była: jazdy 900, piechoty 1.500, armat sześciofuntowych 8 i trzyfuntowych 8. Z taką siłą wymaszerował Dąbrowski z Warszawy i do niego przyłączył się generał Madaliński w Kamionce z 600 konnicy.

Niech tu oddam hold cieniem generała Rymkiewicza winny, człowieka zimno rzeczy rozbiierającego, pełnego wiadomości, a szczególnie zdrowego rozsądku, nieustraszonej odwagi. Przeszedł on był z zakonu Jezuitów po ich reformie

do wojska polskiego. Gdyby go zawczasu śmierć we Włoszech nie była zaszła, może byłby jeden z największych generałów.

Generał Dąbrowski, zataiwszy swe imię był wydał roku 1796 dziełko pod tytułem: *Beitrag zur Geschichte der polnischen Revolution im Jahre 1794*. Tam wszelkie swe operacye w tej kampanii opisał, nie będę ich więc powtarzał. Wspomnieć jednak muszę, co on w tem dziele przepomniał, iż ja, pełniąc w całym zapale powinność Polaka i pełnomocnika, wymogłem na generale Madalińskim, iż mu dał pocałowanie braterskie i pod jego poszedł komendę.

Zajątrzyła się była rana Madalińskiego, generała, gdy przybywszy z Sochaczewa do Kamionny, zobaczył naczelne dowództwo w ręku Dąbrowskiego, który niedawno temu był jego podkomendnym i źle widzianym. Przeglądałem w tej niezgodzie smutne dla sprawy publicznej wypadki; przy pierwszym się zatem widzeniu Madalińskiego z Dąbrowskim tak wystawiłem potrzebę ich jedności dla dobra wspólnej naszej matki, iż rozczulony Madaliński ucałował Dąbrowskiego i rzekł: Choć starszy generał idę pod twoje rozkazy! Niech ten krok Madalińskiego przejdzie przez me pióro do późnych potomków! Wszakże u Greków i Rzymian ten czyn byłby go unieśmiertelnił. Zrobić ofiarę z miłości własnej dla miłości ojczyzny, jest to cnota praw-

dziwie republikańska! do której się unieść pod rządem samowładnym żadna dusza nadęta nie potrafi. Wie niebo tylko, z jaką pracą utrzymywalem aż do końca zgodę między tymi generałami!

Madaliński (to mu krzywdy nie czyni) w niedostatku edukacyi wojskowej u nas, był tylko żołnierz fortuny, nie mógł mieć tych wiadomości, których Dąbrowski nabył w wojsku saskiem. Kochał swą ojczyznę i był pełen odwagi, zgola partyzant śmiały, gdyby go wódz naczelny prowadzić był umiał. On zwykle mawiał: ja, gdzie chcecie żołnierza wprowadzę, ale nie ręczę, czy go wyprowadzić potrafię!

Dąbrowski w młodości w szkole wojskowej saskiej wychowany, gdzie się wszystko pod prawami żołnierskiej karności działo, nie miał dość wyobrażenia o tej popularności, którą trzeba uzyskać i której niekiedy uledz w republikanizmie wypada.

Wkroczyliśmy szczęśliwie w województwo poznańskie; szanowny obywatel Gajewski z Wolsztyna był pierwszy, który drogę nam zabiegł i w imieniu powstania z uczuciem witał. Ale już w Kole i innych miejscach zabiegli nam drogę insurgenci kujawscy pod komendą kasztelana Mniewskiego. Czyli Dąbrowski dość umiał cenić ten zapal republikański, nie wiem.

Może że mu był obcy, a może też jako żoł-

nierz od dzieciństwa regularny nie mógł się oswoić z tą zbieraniną, którą zapal miłości ojczyzny uzbroił w różną broń i kosy. Tak przecie wielki Waszyngton rozpoczął wojnę i Amerykę oswobodził. Co do mnie, towarzysząc ciągle Dąbrowskiemu, zawsze mu szacunek dla obywateli wpajałem. Generał uorganizował przeszło 4000 ludzi z powstania i do wojska regularnego przyłączył, tak, iż cała siła nasza już do 7000 się wzmogła. Z tej wykomenderował część pod Poznań i inne strony dla wstrzymania nieprzyjaciela, z resztą zaś korpusu odparł pod Łabiszynem pułkownika Székely, ścigał go pod Bydgoszcz i do tego miasta dnia 2 października wszedł. Székely był ranny od kuli armatniej i od swoich opuszczony, leżał na ulicy. Dąbrowski obszedł się z nim, jak ludzkość i wiek cywilizowany wymagał.

Był on rodem z Węgier, prawdziwe plemię Hunnów, okrutny barbarzyńiec, który bez wszelkiej litości obchodził się z obywatelami i nawet pleć żeńską, posądzoną o znowę rewolucyjną, pod szubienicą z powrozem na szyi stawiał. Gdyby śmierć nie była nas uwolniła od tego barbarzyńcy, wściekłość jego rozjuszona nie byłaby znała granic. Był to partyzant bardzo śmiały, umocowany od króla ścigać podejrzaných obywateli.

W Bydgoszczy był trybunał sprawiedliwości i kasa administracyjna pruska; tu do mnie na-

leżało znieść tę władzę cywilną i wrócić miastu urzędy narodowe. Tem się więc zaraz zająłem zwoławszy na zwykle posiedzenia członków rządu pruskiego, zapowiedziałem wszystkim urzędnikom pruskim, że się ich urzędowanie skończyło.

Dwóch prezydentów pruskich z kilku członkami, tak jakem miał w instrukcyi w zakład naszego bezpieczeństwa wzięwszy, do Warszawy odesłałem. W takiej zmianie, jak można było, na prędcę wybrałem rodaków do sprawiedliwości i administracyi. Wydałem proklamacyę do ludu, iż przyszedłszy braci naszych uwolnić od obcej władzy i wrócić ich na łono powszechnej matki i t. d.

Zaręczyłem każdemu bezpieczeństwo i całość własności. Jakoż ku chwale naszego żołnierza i generalów miło mi jest wyznać, że lubo jak szturmem weszliśmy do miasta, wszelka przecież własność mieszkańców jak w pokoju szanowaną była. Nikt gwałtu, nikt przykrości nie doznał. Ja, który kilka dni stałem u jednego obywatela, zapłaciłem mu za stancyę, albo raczej zadziwionemu pieniądze na stole zostawiłem. Co się tyczy składów publicznych, tych ile możności kazałem spisać inwentarz. Największa część poszła na potrzeby wojskowe; mało co zapewne ubocznie ręka prywatna zagrabiała. Coś tam ze składu porcelany miano so-

bie podobno zabrać, ale to do mnie nie doszło aż bardzo późno.

Przecież Bydgoszcz we wszystko obfita zaczęła być, poniekąd Kapuą dla wojska. Zaczęto szemrać na moją spartańską skromność; wymagano, abym nałożył kontrybucye na miasto dla nagrody wojska. Przyszedł do mnie z tą propozycją w tonie dość nieprzyzwoitym, Piotr Z., przyjaciel Dąbrówskiego od Saksonii; ale dawszy mu poznać moją władzę, wystawiłem zgrozę, którejbyśmy się dopuścili, uciemniając naszych współbraci, którym mieliśmy przynieść pokój, wolność i wszelkie narodowe swobody.

Zabezpieczyłem w ten sposób własność obywateli i uchroniłem może ducha żołnierskiego od ponęty grabieży i skłonności do zbytku. Jedną chlubną dla Polaka nagrodą była obrączka złota: »Ojczyzna swemu obrońcy«. Te powierzone mi od naczelnika, z wielką przecież skromnością rozdawałem zasłużonym przez patriotyzm i waleczność. Tak, mowilem, w świetnych wiekach wolności, wieńczył Rzymianin swe skronie zielonym liściem za największą nagrodę.

Gdy taki był stan rzeczy w Bydgoszczy, myślałem jakby dalej rozszerzać powstanie, podług danej mi instrukcyi i własnego uczucia. Będąc rodem z Prus polskich, miałem me związki z familią w województwie dawniej pomorskiem. Przez różne stosunki czyniono mi nadzieję opa-

nowania nawet samego Gdańska. Komunikowałem tę myśl Dąbrowskiemu i żądałem, aby dał konnicy do tentowania zamiaru. Jego zamysłem było dobyć Toruń, dał mi jednak sto kawaleryi pod komendą słabego oficera Łaszczyńskiego. Hazardowałem się przecieź i do miasta Swiecia doszedłem, gdzie na drugim brzegu Wisły stanął rejment huzarów żółtych pruskich, nie odważył się przecieź przeciwko mnie przepawić. Tu doświadczyłem, co to jest trwoga. Wszystkie przedmioty, drzewa itd. wystawiały nieprzyjacielowi, jak się później dowiedziałem ogromną siłę, z którą myślał, że wkracza powstanie. Dano mi czas opanowania Swiecia; tam uorganizowałem urzędy krajowe, ale wkrótce moje i generała Dąbrowskiego nadzieje znikły, gdy wiadomość przegranej pod Maciejowicami i wzięcia w niewolę naczelnika Kościuszki do naszych doszła uszu.

W tem niby bezkrólewiu powstały intrygi, a niepewność dalszych obrotów radzić nie mogły Dąbrowskiemu, jak tylko spieszny powrot do Warszawy. Różne różnych były zdania, nakoniec generała przedsięwzięcie było śmiało wracać się na Włocławek, brzegiem Wisły ku Bzurze. Trzeba było tyle mieć szczęścia, ileśmy mieli i trzeba było, aby generał Szweryn, mający blisko 20.000 wojska, tak był zatrwożony, że ciągle około nas krążąc, nie śmiał na naszą

znużoną garstkę uderzyć i przejść nam Bzurę pod Grochowem do Warszawy pozwolił.

Już od Bydgoszczy w rejteradzie zmniejszały się nasze siły, zbieranina kosynierów do domów wracała, a w obywatelach, którzy domy i familie z gorliwości porzucili, trzeba było zanadto tęgości charakteru i poświęcenia, aby się na łódź już prawie rozbitą puścili. Było ich przecieź wielu.

Po nieszczęśliwem zdarzeniu Kościuszki, który jak sam mniemam, przez źle wyrachowane operacye wojenne, poniósł tę klęskę, rada najwyższa wojenna obrała naczelnikiem JW. Wawrzckiego.

Mąż ten szanowny był się wsławił na sejmie konstytucyjnym przez swój charakter i przywiązanie roztropne do rzeczy publicznej, ale nie posiadał najmniejszej wiadomości wojskowej i z płaczem, jak niegdyś Wiśniowiecki ten ciężar przyjął.

Przybywszy do Warszawy przed generałem Dąbrowskim, który wojsko prowadził, zastałem naczelnika z całą radą w największem pomieszaniu. Marszałek litewski, Ignacy Potocki, podkanclerzy koronny, ksiądz Hugo Kołłątaj, którzy byli przy sterze rządu, opuścili w tej burzy ręce. W tym stanie rzeczy trzeba nam było człowieka z tym nadzwyczajnym geniuszem, jakich rzadko natura wydaje, a którzy tylko sami

naród z przepaści wyrwać mogą. Takiego człowieka, powiedzmy prawdę, nie mieliśmy, w tym niedostatku rewolucya nasza upadała. Uczyniłem nowemu naczelnikowi raport z mych czynności, zwróciłem mu obrączki złote, które mi się zostały i o blizkim powrocie generała Dąbrowskiego zapewnilem. Ale to wszystko było przyjętem, jako w owym pożarze, gdzie się każdy krzątał bez zmysłów, pewnych do ocalenia siebie nie przedsiębiorąc środków.

Przybył nakoniec Dąbrowski z ocalonem swem wojskiem pod Warszawę. Naczelnik, nie wiem, jakim wrogiem przeciwnym, zamiast go złączyć z całą swą siłą przeciwko Suwarowowi, który pod Pragę postępował, dał mu rozkaz maszerowania z przydanymi Litwinami ku Rawie dla obserwowania Prusaków. W takim urządzeniu oddany mi był znowu urząd pełnomocnika przy korpusie Dąbrowskiego. Nim dokończę smutną historję powstania, muszę co do historii życia mego nadzwyczajny przytoczyć przypadek. Gdy generał Dąbrowski, jak się powiedziało, wracał na Włocławek, spokrewniony ze mną ksiądz kanonik Jezierski zwierzył mi o czem nie wiedziałem, że ś. p. kanonik Lniński, wuj mój rodzony, złożył kilka tysięcy i niektóre precyoza u kapitułarza we Włocławku i te mnie legował. Oddała mi ten depozyt kapituła, który w tej okropnej dla mnie chwili stał mi się funduszem wy-

jechańia z kraju aż do Paryża. Dzieło to szczególnej nademną opatrności! Doznawalem zawsze z najżywszem uczuciem nieustannej jej opieki we wszystkich przeciwnościach, któremi od młodości byłem miotany.

Podług woli naczelnika wymaszerowaliśmy ku Rawie. — Dąbrowski w dobrach wojewody Walickiego, Małowies zwanych, stanął obozem dla urządzenia swoich dalszych obrotów. Było to w bliskości dóbr moich pod Warszawą, Krobów, które zupełnie zniszczone przez Rosyan znalazłem.

Tak całe życie fortunę moją zjadały rewolucya albo usługi publiczne! Tu miło wspomnieć, iż JW. wojewoda rawski, Walicki, dóbr gdzieśmy stali dziedzic i mój sąsiad, oskarżony został na początku rewolucyi przez niechętnego sobie imiennika o porozumienie się z Rosyanami. Tę nowinę głosił po całym mieście. Wojewoda Walicki był pan majątny, a zatem chciwa na zdobytych hałstra w wielkiej asystencyi przyprowadziła na radę potwarcę i dekretu na zdrajcę Walickiego żądała. Stanąłem niezachwiany w obronie oskarżonego i oskarżyciela do wysłuchania skargi, kazałem na ratuszu zamknąć. Ale już na drugi dzień kazałem go do innego więzienia poprowadzić, gdym się z własnego jego zeznania i t. d. przekonał o niewinności wojewody.

Tłómaczyłem się w mowie głośniejszej na ratu-

szu, iż gdyby się jeden taki połów udał, jużby nikt nie był pewny swej osoby i własności. O pozory nie trudno. Mruczała na mnie długo tłuszczą, zdobywszy chciwa, a tymczasem potwarca z rozpacz i zgryzoty sumienia w więzieniu umarł.

General Dąbrowski, wykomenderowany, jak wspomniałem, na obserwację siły pruskiej pod komendą generała Favrat i Kleist będącej, stanął był w Starejwsi pod Grojcem blisko mych wiosek; stamtąd czynił dalsze układy dalszego ruchu, któremu, jako pełnomocnik starałem się być pomocą. Ale wtem śmierci godzina dla naszego powstania wybiła! Suworow podstąpił pod Pragę i dnia 4 listopada zniósł nasze koło niej stojące wojska... W krwawej walce zginęło na Pradze do 12.000 osób.

Wojskiem około Pragi dowodził generał Zajączek, który ranny do Warszawy się szczęściem dostał. Naczelnik Wawrzecki równie szczęśliwie się przedarł. Wszystkich ogarnęła rozpacz; król dopiero wtenczas znowu stanął na czele rządu i z Suworowem negocyował.

Ja od rana, zostawiwszy generała Dąbrowskiego pod Starąwsią, pojechałem do siebie do Krobowa. Wracając w wieczór przez Grojec do Warszawy, spotykam pełno uciekających z Warszawy. Wtenczas wszystkie nieszczęścia ojczyzny i moje osobiste stanęły mi

przed oczami! W obląkaniu spotykam p. Łyszkiewicza, bankiera, który równie Warszawę porzucił i do Galicyi przez Pilicę się przebierał. Był to dobrze życzący mi obywatel; radził mi, abym bez stracenia czasu i z nim jechał zaręczając, iż mnie przez swe znajomości przeprowadzi do Zamościa, gdzie była moja żona i dzieci i gdzie mój siostrzeniec p. Owidzki zarządzał ordynacją Zamoyską. Skłoniłem się do tej propozycyi. Przeprawiliśmy się przez Pilicę pod Białobrzegiem i już mi p. Łyszkiewicz aż do Zamościa towarzyszył.

Jeszcze dotąd zanadto mam bólem ściśnione serce, abym tej pielgrzymki malował obraz. Dla siebie sto razy wzywałem śmierci. Przepędzałem dzień i noc w milczeniu. Napróżno wystawiałem sobie upadek tylu wielkich walecznych narodów! Niema znaku Troi, Kartaginy! Ojczyzna Leonidasa, Ateny, stały się łupem barbarzyńców! Rzym, ów pan świata, ugiąłwszy tyle razy kark pod ostrzem żeleźca barbarzyńskiego, stał się nakoniec własnością mnichów!

To wszystko nie goiło mej rany. Wszystkie te narody upadły w swej już zgrzybiałości. Polska przez konstytucyę 1791 roku była w kwiecie swej młodości i jak w tej wiosennej porze, miała się w całej swej wielkości rozwinać.

Gdy mnie tak okropne trawiły myśli, mój anioł pocieszyciel, Łyszkiewicz, ucierał się z Kroa-

tami nad Wisłą, którzy nas wpuścić do Galicyi nie chcieli; wzywał pomocy Żydów z Kazimierza, którzy go znali i już o milę od Zamościa mnie w bezpieczeństwie zostawiwszy, sam do Lwowa pojechał.

W pierwszym folwarku do ordynacyi należącym, zwierzyłem się urzędnikowi, kto jestem; ten natychmiast wysłał z mym listem do pana Owidzkiego do Zamościa. Odebrałem odpowiedź, że general Zajączek, ksiądz Kollątaj aresztowani byli w Galicyi i do fortec zawiezieni; że ja nie mogę się dać poznać w Zamościu bez niebezpieczeństwa, dopóki by od generała, tam stojącego nie było zezwolenia. Przy tym liście przysłał mi ukochany siostrzeniec człowieka, który mnie tymczasem na ustronny miał zaprowadzić folwark. Droga przypadła przez Zamościa przedmieście.

Gdy się tam zbliżyłem — Boże! co za widok dla ojca! dwaj moi synkowie wracali z kucharzem ze spaceru do matki. Zakrywałem oczyma zalane; przecież jakiejś natury natchnienie, dorozumiewały się moje dziatki, jak się później dowiedziałem, że to ich ojciec!

General nastawał na mój wyjazd, uprosiłem więc żonę, aby z dziećmi wróciła do kraju, gdy siebie nieprzyjany losom oddać wypadało. Skłoniła się do tego. Nadzieja, ta szczególna pociecha dla żyjących, wystawiła mi zmianę okoli-

czności; ludziliśmy się nawzajem z żoną pomyślnymi widokami na naszym ostatnim tkliwym pożegnaniu!

Zima była okropna, pobyt mój w Zamościu był w styczniu 1795. Jeździłem po przyjaciółkach moich po Galicyi, aż ku Dniestrowi, gdzie się bawił mój zbawca Łyszkiewicz. Błąkanie to moje chciałbym zapomnieć. Po niejakiem czasie znalazł mnie list mego siostrzeńca, w którym mi donosi w wielkiej tajemnicy, iż pani ordynatowa Zamoyska, żona owego sławnego Andrzeja Zamoyskiego, który mnie do układu praw z sobą był wezwał, umyślnego z Wiednia przysłała, że na podaną rotę przez posła pruskiego Lucchesiniego, dozwolono mnie śledzić jako złoczyncę, którego sobie narody nawzajem wydawać powinny. Tu pani Zamoyska, ta cnotliwa Polka, dodała, aby mi pan Owidzki wszystkiego dostarczył na drogę; przestrzegała mnie również, żebym się koniecznie na Wołoszczyznę udał, gdyż przez Niemcy w żaden sposób się nie uratuję. Roniłem łzy wdzięczności za ten czyn wspomniały Zamoyskiej, która wszystkich dobrych Polaków była matką. Ale ani pieniędzy, ani rady nie przyjąłem.

Pieniądze, jak wspomniałem wyżej, miałem z daru Opatrzności.

Na Wołoszczyznę udać się pomiędzy Greków nie chciałem bo mi stało w oczach ich prześla-

dowanie, jakiego od nich doznałem w czasie konfederacyi barskiej. Nadzwyczajną przeto myśl w pierwszym zapale powziąłem, udania się prosto do Wiednia. Tam chciałem notę podać dworowi, usiłując dowieść, iż nie jestem ten zbrodniarz ohydny, którego sobie nawzajem narody wydawać powinny, lecz tylko Polak broniący swej ojczyzny, jeżeli przeto patryotyzm jest zbrodnią, więc czekam kary, dodając: *dulce et decorum est pro patria mori*. W takim szale pojechałem do Lwowa i pomimo biegającego na mnie cyrkularza z opisem mej figury, sam nie pojmuję, w jaki sposób otrzymałem paszport do Wiednia. Ten otrzymawszy na wszystkie przedstawienia mych przyjaciół złodowaciałem i drogę moją na Tarnów obróciłem do Wiednia.

W Tarnowie odwiedziłem mego szanownego generała Mokronowskiego, który, jak mnie tylko spostrzegł, rzekł: »czy nie wiesz, jaki cyrkularz za tobą ściga?« odpowiedziałem, »że wiem i oto mój paszport, jadę do Wiednia«.

Szanowna generałowa, z domu księżąt Sanguszków, niechby ją wszystkie pomyślności okryły, odezwała się: ach, na jakież niebezpieczeństwa chcesz się pan narażać; czy będziesz przyjęty i wysłuchany? ukój ten twój zapal. Ja zaproszę dziś na kolacyą kreiskapitana i panu jako memu kamerdynerowi, pod nazwiskiem Sokół, paszport do Pragi do księżnej Poniatowskiej,

matki księcia Józefa wyrobię, a ta pani dalej cię wyprawi do Francyi.

To był głos opatrności, który mnie znowu wybawić chciał! Upokorzyłem się przed wolą nieba. Pani Mokronowskiej najczulszą wyraziłem wdzięczność z oświadczeniem, iż za jej radą pójdę. Po kolacyi z kreiskapitanem, otrzymałem z rąk najpiękniejszych mój paszport i zaraz wzięwszy pocztę udałem się do Pragi, jako Sokół, oświadczywszy na pożegnaniu pani mojej tysiączne podziękowanie i nieśmiertelną wdzięczność, którą pewno w mem sercu zachowam.

ROZDZIAŁ IX.

Wyjazd autora za granicę.

Przyjechawszy do Ołomuńca dowiedziałem się, iż Kollataj i Zajączek do twierdzy Josefstadt do kazamatów przywiezieni zostali. Wzdychałem nad tem przeznaczeniem ludzi, gdy już na wyjeździe w Tarnowie dowiedziałem się, że wszyscy nasi dobrze myślący, poszli napelnić ciemnice rosyjskie, coby i mnie było spotkało, gdybym był za radą poszedł mego szanownego generała Gorzeńskiego, który mi powrót do Warszawy zabezpieczał, umyślnie do Tarnowa przysłanym listem.

Przyjechałem do Pragi szczęśliwie, gdzie w bramie śmiało jako kamerdyner Sokół do księżnej Poniatowskiej zameldowany, bez wszelkich indagacyi dalszych do miasta wpuszczony

byłem. Wszakże oficerowie w bramie mieli rozkaz odbierać paszporta podróżnych, czego względem mnie że nie uczynili, szczególne wynikły wypadki. Stałem zdaje mi się, pod »Białym Barankiem« i dowiaduję się, że księżna Poniatowska, wraz z madame Sali, dawną króla Poniatowskiego kochanką, była na wsi.

W rozmysłach dalszych obrotów, kazałem sobie dać obiad, który po wyjeździe z kraju, prawdziwie pierwszy raz spokojnie jadłem; gdy wtem sługa policyi z żółtym kołnierzem wchodzi i pyta się, czym jest Sokół? Odpowiadam śmiało, że tak jest! Masz się więc waćpan stawić, rzekł, do ministra policyi Trautmensdorf.

Tysiąc myśli zgromadziło się w momencie w mej głowie. Jednakże pytam się z zimną krwią pana policyanta, dawszy mu kieliszek wina, czybym mógł dokończyć obiadu? *O ja!* odpowiedział dobry Niemiec i odszedł. O losy ludzkie, gdy w tym momencie wszystkie mi smutne snuły się myśli, samą pomyślność w tem zdarzeniu gotowały mi nieba. Wziąłem z sobą paszport i uzbrojony na wszystko miną zdecydowaną, poszedłem do pana ministra. Skoro mnie do niego wprowadzono, w okamgnieniu osiadła mnie spokojność. Była to figurka mała, żywa, biała, wcale nie ministrowska.

Odezwał się do mnie: Waćpan Sokół? odpowiadam: tak jest! A jak się wpan odważyłeś się

jechać bez paszportu? Ja składam mój paszport w ręce ministra. On: a czemuż go wpan w bramie nie oddał? ja: bo go oficer nie żądał! Ta lakoniczna i żwawa rozmowa wprawiała nas w dyskurs prawdziwie przyjacielski.

Minister przekonany o moim paszporcie powiada mi, że nie zastał księżnej, że jest na wsi i pyta mi się, co za cel mojej podróży? Opowiadam mu obszernie wypadki naszej rewolucyi, dodając, iż król i cała familia chciałaby w tych okolicznościach widzieć księcia Stanisława Poniatowskiego w kraju itd.; że w tym celu wysłany zostałem do księżnej Poniatowskiej do Pragi, aby mi na dalszą podróż wyrobiła paszport. Szczęście chciało, iż dobry minister wszystkiemu uwierzył i chętnie się skłonił do wizowania paszportu na wyjazd z Pragi i dalszą podróż.

Prosił oświadczyć księżnej jego uszanowanie i księciu Stanisławowi, który w tym czasie, do dał, ma się znajdować we Włoszech. Tam więc, rzekłem, muszę jechać! Pożegnaliśmy się, kamerdyner z ministrem, w rzadkiej uprzejmości. Wyszedszy za próg cały radosny i wesół, zapowiedziałem natychmiast konie na poczte a tymczasem smaczną zjadłem kolację, bom obiadu nie mógł dokończyć.

Przedsięwziąłem jednakowoż nocować jeszcze w Pradze i nie widząc księżnej, prosto przez

Bawaryę ruszać do Szwajcaryi. Tak też zrobiłem. W bramie okazawszy wizę ministra, byłem zaraz wypuszczony, a gdy ten myślał, że się od niego księżnej kłaniam, jam szczęśliwie przez Bawaryę aż do Bregenz zajechał, z czułością zawsze patrząc na dar kochanego kanonika, za którego pomocą odprawiłem podróż.

W Bregenz znowu mi los zagroził. Przestroga jak mało trzeba fortunie i swej szczęśliwej gwiazdzie wierzyć! Tam była aż ku Renowi ostatnia straż austriacka z Kroatów, ludu najnieprzyjaźniejszego Francyi. Pułkownik komenderujący był równie Kroat. Posterunki na mój paszport nie zważając, zaprowadziły mnie do niego. Pułkownik Kroat wydawał się w mych oczach, co do postaci, jakby szczątek owych olbrzymich ludów; co do obyczaju, jak prawdziwy pierwotny Sarmata. Przyjął mnie po grubijańsku; ledwo odebrał paszport i nie czytając wizy ministra, krzyknął: że tylko do Pragi mogłem jechać, a teraz do Francuzów przez Szwajcaryę się przedzieram. Wtenczas przybrałem z nim ton śmiały, który mnie zbawił, mówiąc: Wpan nie czytasz wizy ministra na dalszą podróż! Rozdrażniony Kroat i nieco pijany zawołał: Wpan pójdziesz do aresztu! Ja na to, nie spuściwszy z tonu: Możesz wpan czynić ze mną, co chcesz, ale mi pozwolisz wysłać kuryera do Pragi do ministra.

Tu mój Sarmata jeszcze nie zwolnił, ale na szczęście młody jego adjutant, wzięwszy go na bok, czytał mu wizę ministra: »Sokół może wyjechać z Pragi i dalej, gdzie jego misya wymagać będzie«. Nieutulony w gniewie brutal pułkownik wrzasnął: Niechże idzie do dyabła, ale ja przekonany jestem, że to jest szpieg francuski! i odszedł. Grzeczniejszy adjutant prosił mnie, abym porywcość staremu pułkownikowi wybaczył i dodał mi żołnierza, który mnie aż do ostatnich kroackich posterunków ku Renowi przeprowadził.

Tak się przecie zakończyła ta ostatnia scena komedyi, która łatwo mogła się zamienić w Brengenz w nader smutną tragedję. Przejechałem mocne poczty Kroatów, braci naszych Słowaków. Rozmawiałem nawet z nimi, którzy mnie po większej części rozumiejąc, nadzwyczajną unosili się radością, że ich językiem mówiłem. »Wsio braty Polaki i Rusy!« powtarzali. Ale też to pokolenie prawdziwie wielkoludów. Nie wiem, jak się z Niemcami, ludem wcale odmiennym połączyć mogli!

Spieszyłem na brzeg Renu. Ta wspaniała rzeka, która w takim majestacie płynie pod Strassburgiem, Moguncją i t. d. tu blisko swego źródła w szczupłym zamyka się korycie. Przebyłem ją na małym statku i na ziemi szwajcarskiej w kantonie St. Gall stanąłem.

Nie wstyd mnie wyznać, iż padłem na kolana i zalany łzami dziękowałem niebu, iż się już na wolnej znajduję ziemi. Zadziwionym Szwajcarom powiedziałem, iż jestem nieszczęśliwy Polak, który utracił ojczyznę i z nią swobody, zagrożony utratą wolności a może i życia, ocalonym się być widzę na świętej ziemi Tella.

Przebywszy brzeg Renu, zdawało mi się, że się w ogrodzie znajduję; wszędzie drzewa rodzajne i murawy zielone. Godny to lud! Pracowitość, ochędóstwo, obyczajów prawdziwie patryarchalna jeszcze skromność! Wolność swoją wyżej nad życie każdy Szwajcar ceni, ale ją od rozpusty, swawoli i anarchii rozróżnić umie.

Dowiedziałem się wkrótce, iż poseł francuski od konwencji znajdował się w Basel i że za jego paszportem można było wjechać do Francji.

Do niego się więc udałem. Słyszałem jeszcze w kraju pomiędzy naszymi demagogami, iż ten poseł Barthelemy wziął imię Bartłomieja, iż na swych drzwiach napisał: »Wnijdz kto chce« i t. p. głupstwa. Opisałem to obszernie w dziele mojem o legionach, jeżeli nie zaginęło; (w istocie zaginęło).

Barthelemy był to dawny dyplomata bardzo przystępny i grzeczny. Przyjął mnie z uprzejmością, okazywał czułość na los Polski; ale mi tego nie powiedział, o czem się później dowie-

działem w mieście, że już był zawarty traktat z królem pruskim, a nasza Polska swej nie-szczęśliwej gwieździe oddaną została.

Poszedłem do niego po paszport do Paryża z oświadczeniem, iż tam się chcę widzieć z panem Barssem, który chociaż bez charakteru dyplomatycznego miał niekiedy potajemnie interesa Polski konwencyi przekładać. Dał mi paszport i nawet Barssa, jako utrzymującego interesa Polski w Paryżu, wyraził, co mi się wcale podobalo.

Powiadał mi o p. Potockim, staroście szczyrzyckim i o innych bawiących w Wenecyi; dodał, iż z panem Potockim był w korespondencyi. Zgola język dyplomaty był jeszcze językiem pociechy dla Polaka. A że we wszystkim zdawało nam się widzieć promyk niejakiej nadziei i w tej rozmowie, która w gruncie nic nie zna-czyła, mamilem się pociechą.

Przyszedł moment wyjazdu do Paryża, złączyłem się z panem Maruszewskim i razemjechać mieliśmy. Wszyscy nam radzili, aby złoto zamienić na asygnaty, ową sławną monetę republikańską. Nie pojmovalam się z radości, gdy mi w Bazylei dawano za jednego ludwika 700 franków w asygnatach. Maruszewski wszystek swój zapas złota z chciwością zmienił; ja ostrożniejszy bardzo mało zmieniałem. Stałem w oberży pod »Trzema królami«. Gospodarz zwinny, który

niezmierne zgromadził pieniądze na granicy, na wszystko mnie nękał, abym więcej złota u niego zmienił. Im on więcej nalegał, tem ja w większe wpadałem podejrzenie. Skutek wkrótce pokazał, jaki szczęśliwy instynkt mną rządził.

W pierwszym miasteczku francuskim Bourglibre, gdy nasze asygnaty na komorze zweryfikowane i za dobre uznane zostały, spieszymy na pocztę; ale jakież przejście z radości do smutku, pocztmistrz rzucił nam pod nogi asygnaty, któremi płacić chcieliśmy i konie wyprządz kazał.

Naprawdę szukaliśmy wsparcia i sprawiedliwości u rządu, wszędzie się podnosiły głosy przeciw konwencyi i rewolucyi. Jednogłośnie mówiono: »koni i ludzi asygnatami żywić nie można a zboża za nie dawać nie chcą«.

Ten język rozciągnął się aż blisko Paryża, i ja mojem zachowaniem złotem wiozłem i żywiłem mego towarzysza podróży; inaczej musielibyśmy wrócić do Bazylei i może za jednego ludwika dać 1000 franków. Niekiedy przecież Maruszewski tentował wydać swe asygnaty; lecz szczególnie w Lunevillu, ledwo nam pocztyliony w skórę nie dali i asygnatów nie podarli. Odtąd ukrywaliśmy tę nieszczęśliwą monetę.

Wieleby wypadało pisać, do jak rozlicznych uwag podróż ta była nam osnową. Widzieliśmy oryginał tego obrazu wolności, którego nam tak

falszywą wystawiono kopię. Nie słyszeliśmy głosu, niech »żyje wolność«; wszędzie jęki, przekleństwa na rewolucję do naszych uszu dochodziły. Mój kolega zwolniał z demokracji; był to obywatel z Piotrkowa. Ja, co zwykle powątpiewałem, tu wcale wierzyć przestałem, aby kiedy w narodzie obszernym, zepsutym, mógł być rząd gminowładny.

W takich uwagach zbliżyliśmy się pod Paryż, ten Rzym w nowym świecie, który zlany krwią swych Syllów i Maryuszów, zamyslał równie o panowaniu nad światem.

W Paryżu najpierwsze nasze odwiedziny były u pana Barssa; odtąd szło się drogą policyi; aż zaświadczenie bezpieczeństwa (*la carte de sûreté*) otrzymaliśmy. Co przecież nam wróciło ducha, że nasza papierowa moneta wszędzie kurs miała, byliśmy zatem bogaci.

Nim do opisów niektórych szczegółów mego pobytu w Paryżu przystąpię, muszę tę ważną okoliczność wspomnieć, iż oddaliwszy się szczęśliwie z kraju, pisał do mnie przez umyślnego do Galicyi generał Gorzeński, mój szczególny przyjaciel, abym wrócił do kraju, iż się niczego obawiać nie potrzebuję; nakoniec doniósł mi, że generał Dąbrowski w wielkich był łaskach u Suworowa, że gdyby chciał, byłby w tym samym stopniu przyjętym w wojsku rosyjskiem, ale że

go dochodzi wieść, jakoby generał Dąbrowski przekładał służbę niemiecką i t. d.

Na ten list, jak wspomniałem, mocno podziękowałem, iż już na ziemię ujarzmioną nie wrócę. Czas dowiódł, iż przeczucia moje były sprawiedliwe, bo wszyscy, od Kościuszki zacząwszy, do Petersburga wywiezieni zostali; a wkrótce nawet sam król z tronu strącony został i do Petersburga wywieziony.

Przez tego umyślnie przyslanego do Gorzeńskiego pisałem do Dąbrowskiego, zaklinając go, aby w żadną obcą służbę nie wchodził, że rozpaczać jeszcze nie wypada, że nakoniec patrzeć nam trzeba na wypadki rewolucyi francuskiej i t. d. Dąbrowski odebrawszy ten list, umyślnego do mnie przez Szwajcaryę do Paryża wysłał z zasiłkiem kilkuset czerwonych złotych, dla ułożenia korespondencyi. Ten wysłaniec był oficer wielki demagog (nie wspomnę jego imienia), zawiódł generała Dąbrowskiego, pieniądze w Szwajcaryi stracił i wróciwszy do Warszawy, ledwo że generała Dąbrowskiego na największe nie naraził niebezpieczeństwo. Znalazł przecież inny sposób Dąbrowski pisania do mnie zaręczając, iż w żadną obcą służbę nie pójdzie i mej rady czekać będzie. Ta okoliczność jest ważna, gdyż początkiem się stała legionów i późniejszej Dąbrowskiego sławy.

Od przyjazdu mego do Paryża skutki rewo-

lucyjne takie wrażenie na moim umyśle działy, że mi ich obrazy ciągle przed oczyma stoją. Opisze historia tę okropną epokę w dziejach świata. Zostałem jeszcze w konwencji i na urzędach szczątki tych krwawych, brudnych i ciemnych demagogów, niesłychane w rodzie ludzkim potwory! Przyjeżdżający do Paryża, stanąwszy w jakim hotelu, powinien się być niezwłocznie stawić w biurze policyi swego cyrkulu, dla złożenia swych papierów i otrzymania karty wolnego pobytu w Paryżu, którą zawsze przy sobie nosić wypadało. Zaprowadził mnie więc gospodarz do tej magistratury; lecz jakże przerażony zostałem, dostrzegłszy na całej postaci tych urzędników ponurość i dzikość. A że zwyczajem było, iż tylko ty! sobie mówiono, tak się więc do mnie tonem twardym prezydent odezwał:

Jak się nazywasz? Zmarszczył się, gdy mu powiedziałem Wybicki! Dalej zapytał się: skąd jesteś? na to, gdy mu odpowiedziałem: z Warszawy! odezwał się z zadziwieniem, słowo Warszawa powtarzając: ale my takiego departamentu nie mamy! Ja na to: zapewne, obywatelu! zapewne obywatelu! Bo Warszawa jest stolicą królestwa polskiego. Na co ten nędzny prezydent krzyknął: A twoje papiery?! Złożyłem paszport w Basel od p. Barthelemy otrzymany i dostałem kartę bezpieczeństwa. Ale co jeszcze

uwagi godnem, że gdy mój paszport oddałem, prezydent czytać nie umiejąc, albo udając, oddał go drugiemu mówiąc: Brutus, czytaj! Te wszystkie obrzydłe demagogi poprzybierali sobie imiona największych Rzymian. Ten był Kato, ów Fabiusz i t. d., a chociaż który i umiał czytać, udawał, że nie umie, bo ta, niby gruba ciemnota, należała także do charakteru demokracji. To się zdaje do prawdy niepodobnem, jest przecie prawdą najczystsza!

Zgromadzaliśmy się zwykle w domu pana Barssa, jako znanego Polaka u osób rządowych i gorliwego. Tam zgromadzeni opowiadaliśmy sobie takie i tym podobne anegdoty, zdrowe nasze zmysły przechodzące. Zaczęliśmy poznawać w doświadczeniu różnicę od wyobrażeń naszych początkowych o rewolucyi francuskiej; lecz to rozwiązywało się łatwo, zważając, że ów początkowy związek rewolucyi francuskiej miał zamiar najświętszy: przywrócenie wolności cywilnej i politycznej człowiekowi przy istniejącej władzy panującego, konstytucyą ograniczonej: ale ten święty zamiar zniknął, gdy chucie, namiętności wzięły górę, gdy ludzie zbrodniami okryci, odsunęli obywateli cnotliwych i światłych od steru rządu, gdy intrygi, chciwość grabieży, a przy tem chciwość krwi niewinnej зараżone i zdemoralizowane opanowała serca. Wtenczas rozniosło się hasło: »Smierć dla majętnych, spa-

dek po niej tłuszczy łaknącej! Śmierć światłym i cnotliwym! a władza rządowa po nich w spadku dla ciemnego zabójczego motlochu!

Moment mego przybycia do Paryża, tej okropnej zmiany stawiał obraz; owo czyste początkowe źródło zamulone było błotem. — W konwencji, na tem posiedzeniu obrad tak wielkiego narodu, zastałem jeszcze niektórych brudnych demagogów, siedzących na swych ławkach w szlafmycach, wełniano-czerwonych. Z nich to płynęły łez i krwi dla publiczności potoki!

Utyskiwaliśmy na ten widok, my wygnańcy Polacy i nie raz ja sam trzymałem z Bolingbroke¹⁾: »Że wolność jest stworzona dla człowieka, ale człowiek nie jest stworzony dla wolności«. Na pierwszy rzut oka, zdaje się to być sofizma, ale w gruncie tak się to zdanie wyjaśnia, że namiętności, miotające zwykle człowiekiem, nie pozwalają mu dojść do tej doskonałości, która koniecznie prawdziwej wolności towarzyszyć powinna. Dlatego powiedział filozof: *Neminem liberum nisi sapientem.*

Coraz czarniejsze zbierały się rewolucyjne chmury, coraz nowe wypadały zaburzenia; zakrwawieni rewolucyoniści, Jakobinami zwani, wszelkiego porządku nieprzyjaciele, chcieli znieść

¹⁾ Bolingbroke Henryk, (1678—1751) słynny pisarz, filozof i mąż stanu angielski. (*H. M.*),

całą postać jakiegokolwiek bądź rządu, bo tylko zamieszanie i anarchia stawiały im do nowego połowu nadzieję.

Przyszło nieraz do otwartej wojny między rządem a rozhukaną zgrają. Zabijali w samej świątyni obrad, szły tłumy nawet kobiet pijanych, zapienionych rozpętać konwencyę. Lecz zanadto się zapuszczam w opis tych scen ohydnych, wracam do mojej osoby. Stałem w hotelu duńskim; już od dni kilku gotowało się zabójcze szermierstwo; siedliśmy więc sobie cicho w naszych domach my Polacy. Wszystkie ulice zapchane były pijanym motłochem i bez narażenia życia ukazać się nie było można.

Nadszedł moment, gdzie popółstwo atakować dom posiedzeń reprezentantów i onych rozpędzić chciało. Rząd w tem niebezpieczeństwie wezwał wojsko ku swej obronie; przyszło do bitwy po wszystkich ulicach między żołnierzem i ludem; a gdy ten napływ zgrai zbliżył się ku mojej ulicy, gospodarz wściekły Jakobin, wpada do mojej stancyi i krzyczy, abym szedł na dół, bruk na dziedzińcu rozbierać pomógł i dobyte kamienie na maszerujące wojsko rzucał. Odpowiedziałem słów kilka, żem cudzoziemiec, żem się mieszać do ich sprawy nie powinien; lecz rozjuszony gospodarz tak mi zagrażał, że mi roztropność kazała zejść dół. Jąłem się więc do

rozbrukowania i wzięwszy kilku małych kamieni, zręcznie z bramy wyszedłem.

Sto razy śmierć stanęła mi w oczach, ale jak zawsze Opatrzność mnie strzegła, tak i w tym wypadku. Wpadam na oficera komenderującego: ognia! i pomieszany wołam, iż jestem niewinny cudzoziemiec, Polak. Zawołano na żołnierzy: puszczajcie go. Tak jakoś w poboczną dostałem się ulicę, ku mieszkaniu Barssa dążąc, lecz znowu spostrzegłem zbliżający się motloch, kobiety, dzieci, mężczyźni z kamieniami i różną bronią przeciw żołnierzom.

Jak się z tej powodzi do domu Barssa dostałem, ani opiszę, ani pamiętam, ręka mnie jakaś opiekuńcza wyprowadziła. Zgromadzeni u Barssa, zaczęliśmy na los utyskiwać; ale z ojczyzny wygnany, w Poznaniu, jako kryminalista na śmierć osądzony, z całego majątku konfiskatą wyzuty, nie mogłem jak tylko pójść za potokiem przeznaczenia ¹⁾.

Najpierwszy z Polaków Turski, wzięwszy podług ducha czasu nazwisko »Albert Sarmat«, miał mowę przy kratkach w konwencji, wystawiającą obraz nieszczęśliwej Polski. Został wysłuchany i otrzymał od prezydenta pocało-

¹⁾ Rząd pruski skonfiskował majątek Wybickiego, powrócony mu dopiero za Księstwa warszawskiego głównie staraniem Stanisława Potockiego p. *Gaz. warsz.* 1818 r. dod. do Nr. 4. (*H. M.*).

wanie braterskie. »Zaszczyt w owych czasach największy«. Wreszcie wszyscy z oświeceńszych, którzy się w rewolucyi pozostali, czynili nadzieję i do cierpliwości zachęcali. Jakoż gdy nowy porządek w rzeczach nastąpił i dyrektoryat, jako władza wykonawcza był ustawiony, nadzieje nasze na pewniejszych zasadach gruntować się zaczęły.

Ja się szczególnie oddałem bibliotece narodowej, zapewne z swego zbioru, najslawniejszej w Europie. Cały poranek w niej czytałem, ile że szanowny mój przyjaciel bibliotekarz generalny, pan Vanprat, mąż nadzwyczajnych wiadomości, do mnie się przywiązał i wszelkich książek, nawet mi do domu udzielał. On mnie poznał z dawnym profesorem akademii Selis, który pewne mi do konwersacyi wyznaczył godziny. Te dwie czynności pozwoliły mi wiele innych i mojej reputacyi w Paryżu założyć fundament. Moje imię doszło do niektórych członków dyrektoryatu. Vanprat i Selis zachęcali mnie podawać noty, względem egzystencyi Polaki. Pisałem więc wiele w tej mierze; a że pomiędzy Polakami bawiącymi w Paryżu za najświetlejszego uważałem JW. Józefa Wielhorskiego, generała, z tym więc najmocniej się złączyłem. Wielhorski tak łatwo i tak pięknie pisał po francusku, iż rzadki był Francuz mogący mu w tem

wyrównać. On więc moje pisma polityczne albo poprawiał, albo całkiem przekładał.

Czasu jednego wezwany zostałem do prezydenta (dyrektoryatu); w sekrecie powiedział mi, iż dyrektoryat powierza mi w zupełnem zaufaniu wszelkie korespondencye polskie i rosyjskie pocztą przychodzące, do przejrzenia, abym o nich wierny zdawał raport. Nie trafiła ta propozycja do mego serca; przyjąć przecież z wielu względów musiałem i uleść władzy, pod którą stałem, ile że na przypadek jakiej korespondencyi podejrzanej miałbym przecież sposób (gdyby nie szło o zdradę kraju) osobę przestrzedz.

Takie zaufanie rządu ośmieliło mnie do częstszego przedstawienia interesów mojej ojczyzny, już z karty politycznej wymazanej. Mówiłem o niebezpiecznej polityce rosyjskiej na ruinach Polski wzrosłej. Takie moje uwagi przyjmowano ciekawie i różne pytania czyniono. Zachęcano do pism i ich drukowania.

Między innemi dziełkami wydałem w tym czasie list: »niby to Kościuszki z więzienia do dyrektoryatu pisany«. Znalazł powszechną aprobacyę; żałuję mocno, że go dotąd w mych papierach znaleźć nie mogę. Tak wiele ciekawych rzeczy w tej ustawicznej włóczędze utraciłem. Wkrótce dostrzegłem, będąc w takiej zażyłości z osobami rządzącemi, iż każdy z nich czuł potrzebę egzystencyi Polski; lecz tej przywrócić

nie było jeszcze w mocy Francyi. Wynikły, mówiono, nowe stosunki polityczne z obcymi dworami, których Francya dla własnego interesu obrażać nie może.

Wreszcie powiedział mi jeden z nich poufale: wszystkie interesa wewnętrzne i cały kierunek wojen, jest na teraz w ręku generała komendującego we Włoszech, Napoleona Bonapartego.

Tymczasem przybywało do Paryża coraz więcej wygnańców. Wszystkich zamiary były patriotyczne, ale wszystkich pojęcia nie były równe. Byli tacy, którzy w tym błędnym zostawali przesądzie, iż Francya ruszy zaraz z swoją całą siłą przeciw Rosyi, Austryi i Prusom na dźwignienie Polski. Był to rodzaj zawrotu głowy, przy najlepszem sercu.

Zaciągnę zasłonę na wiele scen gorszących; to tylko wspomnę, iż dwie zaczęły się partye formować. Wspomnienie to, jeszcze dotąd rozdziera me serce.

Przybył Karol Prozor, były oboźny litewski, który nadzwyczajnie wiele dla ojczyzny ucierpiał, a który do prawdziwego patriotyizmu wiele światła i zimnej rozwagi łączył. Z tym szanownym mężem jak najściślejsza łączyła nas przyjaźń, jemu więc, jako i generałowi Wielhorskiemu i Barssowi, związki moje z dyrektoryatem szczególnie udzielałem. Z żalem patrzyliśmy na tych demagogów polskich zapędy, na których czele

stał kasztelan Mniewski, przeciw którego patryotyzmowi nie mówić nie mogę. Był on marszałkiem powstania kujawskiego, wiele się do sprawy publicznej przyłożył i wiele dla niej ucierpiał; ale od momentu wkroczenia generała Dąbrowskiego do Wielkiej Polski, powziął niechęć ku niemu i stąd do Paryża przyjechał.

Generał Dąbrowski był prawda łatwy do obrażenia Mniewskiego, jako marszałka powstania kujawskiego, gdyż wychowany w szkole żołnierskiej w Saksonii, nie umiał dość obywatelskiego ducha ocenić; ale Mniewski powinien mu to być darować dla miłości ojczyzny.

Mniewski nie ukojony na Dąbrowskiego i na mnie jako jego przyjaciela, całą żółć swoją wylewał. Przyszło do tego, iż cała partya Mniewskiego nazywała w posiedzeniach swoich Dąbrowskiego Niemcem a mnie Dąbrowskim.

Przecież Mniewski nie byłby się do takich nieprzyzwoitości unosił, bo w gruncie był dobry Polak, gdyby go ci, których on żywił, bo miał pieniądze, na te bezdroża nie byli wprowadzili. Pierwszy z takich jego konsyliarzy był ksiądz D. ekspijar, w szkole księdza Kollątaja wychowany, który nieszczęściem do obszernych swoich wiadomości, pewnego nie przyłączył charakteru. Ksiądz D. wszystkie moje pisma z wielkiem zgorzaniem Francuzów drukiem krytykował, a doszedłszy intrygą przez mego przyjaciela, profe-

sora Selis, (o którym wspomniałem), w jakim zostaje związku z osobami rządzącymi i jakie im podaje projekta, zwołał jakoby na gwałt całą swoją radę pod prezesostwem Mniewskiego i na niej głos zabrawszy dowodził, że im się trzeba wszystkim udać do dyrektoryatu i tam u krated mieć mowę. Powszechny oklask zatwierdził plód dowcipu księdza D., szło tylko o to, przez jaki kanał dojść do krated i wolność głosu otrzy-mać. Mniewski ofiarował się dać w tym celu huczny obiad dla niektórych pasibrzuchów de-putowanych. Jakoż ci przyrzekli, że ksiądz D. tego a tego dnia może stanąć u krated a głos mu dozwolonym będzie.

Doniósł mi o tych ważnych układach Mniewskiego Prozor, którego i tamta strona do siebie wabiła. Zakląłem go, aby na tej scenie nie był, bo się smutnie zakończy, o ile się dorozumie-wam. Usłuchał mnie Prozor, ale ksiądz D. oto-czony licznym orszakiem, jak nazywał patryo-tów prawdziwych, skoro u krated stanął, po-wszechny powstał krzyk, aby milczał i od kra-tek odszedł. Nastąpiła więc nieprzyjemna rejterada Polaków. Bolałem nad tem bardzo i nawet nie bez narażenia się wyrzucałem tym ichmościom, iż skompromitowali naszą sprawę, iż ksiądz D., tak uczony człowiek, powinien był wyrachować, że to inne czasy, aby kiedy Albert Sarmata do konwencji z Jakobinów złożonej, mówił i poca-

łowanie braterskie otrzymał. Mowę tę księdza D. mam w swych papierach; jest w niej rzecz źle i opacznie wystawioną.

Co do mnie, idąc zawsze drogą roztrópnosci, nie pytałem się o partye, bo nie byłem, tylko z moją ojczyzną; a mając zawsze w pamięci, com słyszał od osób rządowych, że wszystkie interesa wojenne są w ręku Bonapartego, przedstawiałem generałowi Wielhorskiemu i innym równie myślącym, abyśmy jaką drogą do niego trafić mogli. A gdy różni oficerowie polscy z wszystkich stron do Paryża przybywający opowiadali mi, jak wiele znajduje się żołnierzy Polaków, szczególnie z Galicyi po fortecach pruskich jeńcami, wpadłem na tę myśl szczęśliwą, czyby nie można otrzymawszy dla nich wolność, zrobić z nich jaki korpus żołnierza polskiego, któryby pod komendą generała rodaka, mógł być do armii Bonapartego przyłączony. Tę myśl wyrobiłem zaraz w sposób noty do dyrektoryatu i komunikowałem ją Wielhorskiemu i Prozorowi.

Przyjęto projekt z jak największem uniesieniem i Wielhorski przełożył go natychmiast na język francuski. Ja i Barss wzięliśmy obowiązek jak najbardziej popierać projekt ten w dyrektoryacie, który skoro go doszedł, bardzo dobrze przyjętym został.

Ale wkrótce ja sam zapytany zostałem, któ-

rego generała z Polaków możnaby postawić na czele tego formować się mającego korpusu. Odpowiedziałem, że generała Wielhorskiego, bo sobie od początku tego życzył i był zdatny. Dyrektoryat przecież zamilczał i tego mego podania nie zatwierdził, z jakich powodów, nie wiem.

Wtem przybył do Paryża generał Zajączek, którego szanowna żona z więzienia wydobyła austriackiego. Skoro się ze mną zobaczył, udzieliłem mu zaraz mój projekt; pochwalił go a ja go natychmiast podałem dyrektoryatowi, jako wielce zdatnego do prowadzenia tego korpusu. Ale dyrektoryat i tu jeszcze swej woli nie objawił.

W tym stanie rzeczy przyjeżdża do Paryża generał Dąbrowski, którego się nigdy nie spodziewałem, gdyż wszelka komunikacya między nami była przecięta. Był on, wyjechawszy z Warszawy, w Berlinie i jak mi powiadał, ofiarował mu król pruski rangę generała-lieutenanta; on zaś odpowiedział, iż tylko wtenczas przyjmie tę rangę, jeżeli się król pruski królem polskim deklaruować będzie; czego uczynić z widoków politycznych król okazał niepodobność, a tymczasem Dąbrowski dostrzegłszy, iż go policya śledzi, wyniósł się potajemnie z Berlina ku Renowi; tam gdy trafił na komendę generała Kleber, owego sławnego wojownika, który potem w Egipcie został zabitym, znajdując się z nim dawniej

opowiedział mu swoje zamiary, iż szukać chce we Francyi służby dla ratowania swej ojczyzny. General Kleber jak najgrzeczniej go przyjął i z nim się rozłączył; dał mu wielce zalecające listy do dyrektoryatu i wiele innych pochlebnych listów do rozmaitych osób w Paryżu.

Przybywszy Dąbrowski do Paryża, najpierwej się starał ze mną zobaczyć i powiedział, że idąc za moją radą, w żadną obcą służbę nie wszedł i że tu chce doświadczyć, czyby czego dla kraju nie można zrobić.

Wystawiłem mu cały stan rzeczy, szczególnie że projekt mój względem uformowania korpusu polskiego dyrektoryat dobrze przyjął; pozostało jeszcze tylko do decyzji, któryby generał Polak miał nim dowodzić, gdyż ci, których dotąd proponowałem, nie zostali przyjęci. Przypadł do serca Dąbrowskiemu ten projekt i odpowiedział, iż na rekomendacyę Klebera ufa, że jemu dyrektoryat wykonanie tego powierzy.

Jakoż, gdy sam odniósł listy od Klebera do dyrektoryatu i my ponowiliśmy za nim prośby i przedstawienia, odpowiedział dyrektoryat Dąbrowskiemu, iż mu da w tej mierze listy do generała Bonaparte, aby on, jeżeli mu się to zdaje, pozwolił Dąbrowskiemu formować korpus polski z jeńców Polaków złożony. Nigdy nie byłem szczęśliwszy, jak gdy tę odpowiedź dyrektoryatu Dąbrowski mi komunikował. Prócz może jakiej

tajnej pojedynczej zazdrości, radość między nami była powszechna; smuciło nas tylko to, że ani Dąbrowski, ani my, nie mieliśmy na tę podróż pieniędzy; ubóstwo było powszechne.

Lecz wtem szczęśliwa gwiazda generała Dąbrowskiego chciała, iż przybył do Paryża kapitan Zabłocki (w rewolucyi 1794 już był majorem i adjutantem Dąbrowskiego), później jego adjutant i przywiózł dla mnie od generała Dziewanowskiego tysiąc czerwonych złotych. Szanowny ten obywatel zaszczycał mnie od dawna swoją szczególną przyjaźnią; cały zaś był gotów oddać majątek na dobro kraju; jakoż po większej części złożył go na ołtarzu ojczyzny, okryty ranami w szeregach ojczystych; nie wiem, czy mu się kraj przyzwolicie wywiązał. Te słów kilka w holdzie tak szanownemu mężowi złożywszy, wracając do rzeczy, zwołuję obrady i jak owym łakącym chleba pokazuję dukaty. Zapłaciwszy z nich dług poczciwemu restauratorowi, który mnie na borg żywił, resztę między Dąbrowskiego, Wielhorskiego i Barssa podzieliłem. Przybył także generał Wojczyński, z swego czystego patriotyzmu i obszernego światła znakomity; ten się sam ofiarował towarzyszyć generałowi Dąbrowskiemu.

Szczególnie przeciw do tej tak ważnej wyprawy starałem się nakłonić generała Wielhorskiego, jako nadewszystko do wszelkich mów

w obcym języku zdatnego. Tak więc, gdy już wszystko było gotowe do wyjazdu Dąbrowskiego, generał Zajączek wyzwał go na pojedynek, a to za obrazę honoru, której się Dąbrowski w dziełku swoim niemieckiem miał dopuścić przeciw niemu (zobacz wyżej).

Nowy smutek. — Przełożyło się przecież Dąbrowskiemu, że gdy już jest w misyi do Włoch od rządu przeznaczonym, pojedynek ten do ukończenia tej misyi odłożyć musi.

Zajączek przestał na tej eksplikacyi, bo i tak zapewne tylko poduszczony, ten krok pomimo-wolnie zrobił. Gdy się już ta zawada usunęła, generał Dąbrowski szczęśliwie do Włoch do Bonapartego pojechał. Umówiliśmy między sobą korespondencyę listowną, gdyż ja w Paryżu pozostałem.

Otóż tu zaród tych sławnych legii, o których pewno dzieje świata nie zapomną! Wyłożyłem szczerą ich historję, że ja do ich związków najwięcej się przyłożyłem. Mało mi w tem współ-cześni oddali sprawiedliwości, ale moje hasło jest tylko: *ut sit bene patria!*



